Nr. 28 (1228). Warszawa, 26 Czerwca (9 Lipca) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

„Obecny, przychylny dla wykształcenia pogląd pojawił się w Korei pod wpływem wojny chińsko-japońskiej“ — przyznaje otwarcie Horace N. Allen, konsul generalny Stanów Zjednoczonych *). W Seulu od 1894 r. powstał cały szereg szkół, prowadzonych przez nauczycieli europejskich oraz japońskich, wzorowanych przeważnie na zakładach amerykańskich i angielskich. Założona jeszcze w 1886 r. szkoła metodystów amerykańskich pod nazwą „Pai-Czai“ (Sala kształcenia pożytecznych ludzi) zostaje w 1895 roku uznaną za szkołę cesarską i otrzymuje zapomogę rządową — dolara na miesiąc od ucznia. Prócz języków (angielskiego i korejskiego, hieroglifów chińskich) uczą tam geografii, arytmetyki, historyi, algebry, rysunków, fizyki, Nowego Testamentu oraz rzemiosł i mustry wojskowej. Kurs trwa trzy lata; uczniowie noszą mundury; od czasu do czasu urządzane są w szkole publiczne rozprawy, aby przygotować chłopców do życia zbiorowego i działalności politycznej. Liczba uczniów z 50 w roku 1895 urosła do 176 w r. 1897.

W tym też czasie powstała w Seulu szkoła rządowa, normalna, czyli seminaryum nauczycielskie (sa-bôm-hak-kiô) i dziewięć szkół początkowych (siô-hak-kio). Uważam za zbyteczne mówić o wielkiej ich doniosłości. Pierwszym dyrektorem szkoły normalnej był Amerykanin, H. B. Hulbert.

Wciąż wzrastające stosunki handlowe z Europejczykami oraz ponowne nieszczęście Korei, czyniące ją areną intryg wielkiej polityki wschodniej, stworzyły duże zapotrzebowanie korejskich tłomaczy w biurach, kantorach, kopalniach, na budujących się fabrykach i kolejach żelaznych. Rozmaite państwa zaczęły zakładać na wyścigi swe szkoły. W ten sposób powstały: szkoła angielska, (począt. w 1883 r., rozszerz. w 1894), rosyjska (1896), japońska (1891), chińska, francuska (1896), wreszcie niemiecka (1898).

We wszystkich szkołach wykładają przedmioty ogólne, geografię, historyę, arytmetykę, fizykę. . ale głównie usiłują sobie wyrobić z uczniów dobrych tłomaczów. Ogólną ich wadą, że zmuszają rząd korejski do łożenia znacznych stosunkowo sum na ich utrzymanie, co nadwyręża nadmiernie bardzo skromny budżet ministeryum oświaty. Budżet ten w roku 1897 wynosił 47,000 dolarów (jen), w 1900 roku, choć wzrósł do 120,000 dol., wynosił zaledwie 2% ogólnych wydatków skarbu. Z tej sumy na utrzymanie samego ministeryum idzie z górą 23000 dol., na studentów, kształcących się za granicą, około 13,000 dol. (dawniej dochodziło do 40,000 dol.); następnie 6 tysięcy pochłania obserwatoryum astronomiczne oraz komitet kalendarzowy, układający rok rocznie rządowy kalendarz na wzór chiński; 6 tysięcy seulska szkoła lekarska (otwarta w 1899 r.) i kilka tysięcy kolegium Konfucyusza, ocalałe z dawnych czasów seminaryum duchowne *).

Budżet szczegółowy szkół, ułożony na rok 1900, przedstawiał się tak według danych urzędowych:

Utrzymanie szkół koreįskich w Seulu		25,511	dol.
„	szkoły rosyjskiej	1,224	„
„	„ francuskiej	1,224	„
„	„ angielskiej	2,348	„
„	„ niemieckiej	1,224	„
„	„ japońskiej	1,179	„
„	„ chińskiej	1,179	„
Pensya nauczycieli	krajowych	23,410	„
„ „	cudzoziemskich	30,770	„
Zapomogi szkołom	rządowym	22,260	„
„ „	prywatnym	7,240	„
„ „	japońskim	2,640	„

Szkoły żeńska i lekarska nie zostały włączone do budżetu tego roku; wykaz ich znajdujemy raz tylko w 1899 r.: pierwsza dostała 3,750 dol., druga 6,030 dol. Dodam, że żadna z powyższych sum nie dochodzi w całości do miejsc przeznaczenia, wszystkie tają po drodze; jedynie szkoły cudzoziemskie dostają, co im obiecano, rozumie się pod naciskiem zewnętrznym.

Najkosztowniejszą i najwspanialej urządzoną jest szkoła angielska, pobierająca od rządu od 1894 r. około 10,000 dol. zapomogi. Najlepiej zorganizowaną i stosunkowo najtańszą jest szkoła japońska, która dostawała 3,000 dol. zapomogi, ale wydawała najpilniejszym uczniom 10 dol. miesięcznie stypendyum, najlepszych zaś wysyłała na swój koszt do Japonii *). Kształciło się w szkołach wyższych w Seulu w r. 1898 około 800 młodzieży **); wątpię, aby liczba ich obecnie o wiele wzrosła, gdyż rok 1898 był porą największego ożywienia szkolnego. W 1903 r. oglądałem dwie szkoły, francuską i rosyjską w pobliżu ulicy Ministeryalnej; były to małe, dość schludne domki, stojące w różnych końcach obszernego, murem otoczonego podwórza. Miały wewnątrz urządzenie proste, ale europejskie, ładne, duże, szklane okna i ganki. Uczniów nie zastałem, gdyż było święto, dzień urodzin 7-letniego księcia Jang-cziu-nau. Z tej racyi przed bramą pałacu w południe zebrały się tłumy młodzieży szkolnej (hato) z chorągwiami pod wodzą nauczycieli (kam dok), śpiewając pieśni patryotyczne. Mogło ich tam być z jakie półtora tysiąca — cokolwiek za mało dla 220-tysięcznego miasta. Były to jednak wyłącznie dzieci z klas niższych, ze szkół początkowych, studentów nie zauważyłem.

Szkół elementarnych w Seulu jest 9, a w nich do tysiąca uczniów. Na prowin-

*) „The Korean Repository, “October. 1898 r. str. 388.

*) Budżet podany przez Hamiltona na rok 1903 notuje: wydatek na administracyę — 24,822 dol.; na kalendarz — 6,000; szkoły seulskie — 89,969; szk. prowincyonalne — 22,580; zapomogi szkołom prywatnym — 5,430; studenci zagranicą — 15,920, razem — 164,943 dol. („Korea“ str. 100).

*) J. B. Biskop mówi o 77 młodych Korejczykach, kształcących się w 1897 roku w Japonii, ale byli to według jej słów „stypendyści rządowi;“ ogólna ich liczba była więc pewnie wyższą. „Korea and Her Neighbors,“ p. 391.

**) W Pain-Czai — 176; w Normalnej — 65; w rosyjskiej — 88; w francuskiej — 100; w angielskiej — 120; w japońskiej — 180; w niemieckiej — 66. („The Korean Repository,“ October, 1898 y., pp. 388—392 „Our schools“).

cyi takich szkół wszystkiego 21; każda pobiera miesięcznie od rządu 30 dolarów zapomogi. Po za tem istnieją szkoły misyonarskie najrozmaitszych wyznań. Najliczniejsze i najlepiej prowadzone są szkoły metodystów, u których w 15 szkołach niedzielnych uczyło się w 1897 r. 900 uczniów. Jedyna w Korei wyższa szkoła żeńska „Ewa Haktang“ została również przez nich założona. Oprócz misyonarskich niema wcale w Korei szkół żeńskich, gdyż posyłanie dziewcząt do jakichkolwiek zakładów publicznych sprzeciwia się obyczajom korejskim. Kobiety odbierają dotychczas wyłącznie wychowanie domowe *).

Charakterystyczną cechą średnich szkół korejskich jest zupełny brak podziału zajęć wśród nauczycieli. Etaty są bardzo nieliczne, nauczyciele dzielą się nie według przedmiotów, lecz według klas: każdy z nich musi wykładać *wszystkie* lub prawie wszystkie przedmioty powierzonym mu uczniom. Szkoła normalna np. składa się z dyrektora (hak-kio-dzan), dwóch starszych nauczycieli (kio-goań), jednego młodszego (pu-gio-goań), trzech nauczycieli przygotowawczych (kio-uön) i sekretarza (siö-gyj). Nauczyciele europejscy porozumiewają się ze swymi uczniami zapomocą tłomaczów przysięgłych. Nawet oni pobierają dość skromne wynagrodzenie, najwyżej od 2—3 tysięcy dolarów. Japończycy biorą do 100 dol. miesięcznie, nauczyciele krajowi — około 50 dol., a nauczyciele szkół początkowych — najwyżej 15—20 dol. miesięcznie.

Jak widzimy, małe, nadzwyczaj małe są wydatki państwa korejskiego na oświatę i nadomiar lwia ich część pochłaniają szkoły wyższe i cudzoziemskie. Reforma szkolna nie tknęła bynajmniej szkoły elementarnej. Jakże więc poczyna sobie lud prosty, i skąd bierze się znaczny stosunkowo wśród niego procent ludzi piśmiennych **).

Lud uczy się sam. W każdej nieledwie większej wsi odnaleźć można ciemną, brudną dziurę, podobną do już opisanej przeze mnie, gdzie gromadzą się dzieci wieśniaków, zapłaciwszy ubogiemu, jak oni sami, nauczycielowi po 50 phun (10 kop.) miesięcznie. Wieśniacy również „oporządzają“ szkołę, wyściełają ją matami, wyklejają tanim obiciem, kupują potrzebne książki, tusz, papier, pędzelki; prócz tego karmią i odziewają nauczyciela, zazwyczaj chłopa z pochodzenia, równie skromnego i mało wymagającego, jak oni. Płacą i uczą się; wciąż uczą się cierpliwie „tysiąca“ trudnych „znaków,“ bez cienia wyrachowania, bez widomego nawet pożytku i nadziei, że one wywiodą ich z czasem z obecnej ich niedoli... Nauka daje im wyłącznie drobne wprawdzie, ale czysto umysłowe rozkosze i trochę ogłady. Po za tem — nic!.. Jest więc niepoprawnym idealistą ten lud potulny, gnębiony bezkarnie od wieków przez swoich i obcych.

XII. Phon-gań. Pań-su. Dożynki. Wieśniacy i ich zwierzęta domowe.

Dziesięć „i“ (5 wiorst) od Phenang-musej zaczęły się pola ryżowe i okolica odrazu się zaludniła. W parowie płynie na południe rzeczka, którą nazwano mi Poke. Stronami mające wioski, ciemnieją w ramach wysokich grobli nawodnione rżyska. Na wodzie klekoce wysoka, pionowa turbina, poruszająca tłuczkę ryżową; jest to bądź co bądź krok naprzód od niezgrabnych „mul-bań-a.“

Dalej na dolinie spotkaliśmy kilku żołnierzy korejskich w mundurach, podobnych bardzo do japońskich, z ładownicami przez piersi i szybko strzelnymi karabinami na ramionach, w oddali jechał konno oficer i tragarze nieśli jakieś paki. Wszyscy bardzo mi się pilnie przyglądali.

Pola zawalone głazami; często ścieżka ginie wśród nich i konie z trudnością wyszukują między złomami miejsca na postawienie nogi. Pola ryżowe zwolna wypierają z dna dolin wszelkie inne, wypędzają prosa, pszenice, grochy, boby, jęczmienie na zbocza przyległych gór.

Wjeżdżamy do powiatowego miasteczka Phoń-gań *), różniącego się od wiosek jedynie rozmiarami. Na ulicach roi się dużo ludzi, odświętnie ubranych kobiet z zasłonami na głowach. Okazuje się, że w miasteczku uroczystość. Około jednego z okazalszych domów kupi się cały tłum biało ubranych wieśniaków, w czarnych włosiennych kapeluszach. Dostrzegam przed wejściem wielki namiot z szarego płótna, w którym odbywa się jakaś ceremonia. Zsiadam z konia wbrew nawoływaniom ton-sy, który chce mię od tego powstrzymać. Tłum rozstępuje się i widzę „pań-su“ w żółtej, zgrzebnej odzieży, płóciennym berecie, jak schylony nad snopem ryżu, rusza go pałeczką i mruczy zaklęcia. Pomagają mu dwaj młodzi wieśniacy, również uzbrojeni w kije. Gromada starych i młodych wypełnia namiot, przyzbę domu, wygląda z izby. „Pań-su“ miał za beret zatknięty arkusz drukowanego papieru i z powierzchowności oraz ruchów podobny był nieco do mnicha buddyjskiego. Ubranie jego przypominało żałobny strój korejski. Nie zważał na mnie i nie przerywał guseł, nawet gdym go fotografował. Wieśniacy natychmiast zaprosili mię i ton-sę do izby, gdzie na wysokich, chińskich stolikach stały stosy jedzenia, ciastek, orzechów, cukierków. Stąd zaprowadzono nas do drugiego pokoju, w którym na matach, paląc fajeczki, zasiadali pod ścianami poważni, brodaci chłopi. Podano nam po czarce ciepłej wódki ryżowej (su li) roboty domowej, słabej, mętnej i białej, postawiono przed nami małe, japońskie stoliczki-tace zastawione miseczkami z łakociami. Były to przeważnie ciastka z krochmalu rozmaicie zabarwione i zaprawne; miały smak obrzydliwy; z trudnością przełknąłem jeden. Izba niezwłocznie zapełniła się ciekawymi, ale wszyscy zachowywali się bardzo grzecznie i poważnie. Wyszedłem, aby śledzić za czarami, lecz „pań-su“ już porzucił snopek i zwrócił na mnie swe ślepe oczy. „Pań-su“ słyną z nieżyczliwości dla

*) We wrześniowym zeszycie „Korean Repository,“ z roku 1899 (str. 355) znalazłam wzmiankę, że pewna liczba korejskich pań organizowała towarzystwo popierania kształcenia żeńskiego.

**) Autor artykułu „He is a farmer,“ że wśród wieśniaków korejskich jest 60% analfabetów, a włącznie z kobietami 85, że ilość ich najmniejsza jest w prowincyi stołecznej Kion-gyj-do i sąsiedniej Chong-ke-do, a najwięcej na mało kulturalnej północy. („The Korean Reposit. 1898 r. p. 230).

*) Wioska ta, oznaczona dość dobrze na mapie wydania ministeryum finansów, nosi tam nazwę Phiońgań, ale zapisana przeze mnie nazwa Phoń-gań — zgadza się z nazwą na mapie japońskiej.

Leonidas Andrejew.

W mglistą dal.

Od czterech tygodni był w domu, i od czterech tygodni panował ten strach i niepokój. Wszyscy starali się mówić i postępować, jak zwykle, nie zdawali sobie jednak z tego sprawy, że co mówią, brzmi głucho, a z oczu ich przeziera trwoga, że często spoglądają w tę stronę, gdzie znajdował się jego pokój. W przeciwległym końcu domu stąpano nienaturalnie głośno i również nienaturalnie głośno śmiano się, ale przechodząc obok białych, przez cały dzień zamkniętych od wewnątrz drzwi, miarkowano kroki i podawano się ciałem naprzód, jakby oczekując uderzenia. A chociaż idący stąpali całą stopą, krok ich wydawał się lżejszym i bezdźwięczniejszym, niż gdyby chodzili na palcach. Po imieniu nikt go nie nazywał, mówiono poprostu „on“, a że wszyscy ciągle myśleli o nim, ta nieokreślona nazwa była zrozumialszą, niż całe imię. Nie wiedzieć czemu, nazywać go tak, jak innych, wydawało im się zbyt poufałem, przytem słowo „on“ wyrażało dobitnie ów strach, jaki wzbudzała jego wysoka, chmurna postać. Jedynie stara babka, mieszkająca na górze, mówiła do niego Kola, ale i ona odczuwała ten stan naprężenia i oczekiwania jakiegoś nieszczęścia, który cały dom ogarnął i często płakała. Raz spytała Kasi, pokojówki, czemu to panienka nie grała na fortepianie, lecz ta spojrzała na nią zdziwiona i nie odpowiedziała, a odchodząc, pokręciła głową, jakby samo zapytanie uważała za niestosowne.

Zjawił się w szare południe, gdy wszyscy, prócz Piotrusia, który już dawno poszedł do gimnazyum, byli w domu i siedzieli przy stole, pijąc herbatę. Na dworze zimno było, a z gęstych, nizko zwisających chmur mżył deszcz; w wysokich pokojach, mimo dużych okien, było ciemno, w niektórych nawet paliło się światło. Zadzwonił gwałtownie, rozkazująco, aż sam Aleksander Antonowicz drgnął; pomyślał jednak, że to ktoś ze znaczniejszych gości i poszedł wolno na spotkanie, przywoławszy na pełną, poważną twarz uśmiech łaskawy, uprzejmy. Ale przestał się uśmiechać, gdy w pół mroku przedpokoju dojrzał biednie i brudno odzianego człowieka, przed którym stała pokojówka, zmieszana, nieśmiało zagradzając mu drogę. Prawdopodobnie człowiek ten przyszedł z dworca pieszo i tylko miejscami jechał tramwajem, bo jego krótkie, wytarte palto było przemoczone, a spodnie u dołu zachlapane i zesztywniałe od błota i wody. Mówił głosem ochrypłym, grubym, wskutek przeziębienia, czy długotrwałego milczenia w trzęsącym wagonie.

— I czego milczycie? Pytam, czy jest w domu Aleksander Antonycz Barsykow?— powtarzał przybysz swoje pytanie. Aleksander Antonycz, nie wchodząc do przedpokoju, spojrzał przez ramię na obcego, którego wziął za jednego z tych, co zwracali się doń z prośbami i odezwał się surowo:

— Czego to pan tu chce?

— Nie poznałeś mnie, ojcze? — śmiejąc się, ale z drżeniem w głosie spytał nieznajomy. — A toć ja jestem Mikołaj z ojca Aleksandrycz.

— Co za... Mikołaj — wyrzekł Aleksander Antonowicz, cofając się. Ale pomimo pytania wiedział on już, co za Mikołaj stoi przed nim. Powaga znikła z jego twarzy, pokryła ją bladość, ta straszna, starcza bladość, przypominająca śmierć, a ręce podniosły się ku piersiom, pozbawionym nagle powietrza. Szybkim, porywczym ruchem objął ramionami Mikołaja, siwa jego chłodna broda zetknęła się z czarną i mokrą bródką a stare, odwykłe od pocałunków wargi jęły szukać młodych, świeżych i z nienasyconą pożądliwością wpiły się w nie.

— Poczekaj, ojcze, daj mi się rozebrać— miękko rzekł Mikołaj.

— Przebaczyłeś? Przebaczyłeś? — Aleksander Antonowicz drżał na całem ciele.

— Cóż znowu za głupstwa! — surowo odparł Mikołaj, odsuwając ojca. — Jakie przebaczenie?

wszelkich „nowinek", i cudzoziemców. Tonsa ciągnął mię za rękaw, abym szedł. Wydał mi się zaniepokojony mem zachowaniem i gdym się zbliżył do malowanej jaskrawo lektyki i jakichś barwnych przyrządów oraz lalek, które grały widocznie rolę w ceremonii, powiedział mi cicho.

— Idźmy!.. Niech sir idziel.. Ludzie pijani.. Może się stać co złego!.. W dodatku do noclegu daleko i droga prowadzi pustemi polami!.. Ma-phu nie zgodzi się jechać, a tu zostać nie możemy!..

Miałem, co prawda, wielką do tego ochotę, ale spojrzawszy uważnie po skupionych i poważnych twarzach wieśniaków, zrozumiałem, że im przeszkadzam i, że gdybym nawet został, nie pozwolą mi nic zobaczyć, siadłem więc na konia, którego mi skwapliwie podano. Tłomacz objaśnił mię, że zanosiło się na tęgą pijatykę, gdyż świętowano dożynki ryżowe, a rok był urodzajny! Droga szła istotnie pustemi, ale starannie uprawnemi polami, psutemi jedynie przez ogromne bryły lawy, rozrzucone suto i wszędzie wynurzające się z głębi roli, niby łby podziemnych potworów, lub tworzące ławice długie i bezładne. Z trudnością przebywaliśmy je lub omijali gdy się dało. Szeroki gościniec skurczył się znowu do wązkiej ścieżyny. — Słońce zachodziło, góry, strzegące dolin, pociemniały mocno a stalowane ich dno zalśniło się miedzianym blaskiem. Ziemia stygła, wiatr ustał. Bez ruchu zamarły w ognistej zorzy białe kity oczeretów, których obszerne zarośla znowu pojawiły się u drogi. Daleko na wyniosłości zaczerniała sylwetka naszego jucznego konia, którego Ma-phu puścił naprzód luzem, po za nim bielały figury kilku spóźnionych, jak my, podróżnych. Drogi korejskie, we dnie bardzo ożywione, puścieją ku wieczorowi, gdyż zaczynają na nich grasować łotrzykowie, srogie duchy i sroższe jeszcze tygrysy.

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Wiec w Szczakowej. — Ruch parcelacyjny. — Czytelnie germanizatorskie. — Czytelnia ludowa w Katowicach. — Związki zawodowe.

Wiece, protestujące przeciwko nowej ustawie kolonizacyjnej, odbyły się dość licznie tak w Poznanskiem, jak i w Prusach Zachodnich. Na Górnym Śląsku, niestety, niepodobna było urządzić żadnego na większą skalę, ponieważ trudność znalezienia odpowiedniego lokalu nie została dotychczas przełamana. Policya teroryzuje właścicieli sal restauracyjnych, gdzie wielkie zgromadzenia ludowe mogą się odbywać, i ci, obawiając się szykan, nie chcą użyczać swych lokalów Polakom. Wskutek tego partya *Górnoślązaka* zwołała wiec do Szczakowy, za kordonem prusko austryackim.

Nie pierwszy to już raz Górnoślązacy muszą korzystać z gościnności rodaków galicyjskich. Zebrania publiczne w Oświęcimiu, w Szczakowej, na Wysokim Brzegu itd. ściągały w ostatnich latach sporo ludu z Górnego Śląska. Ciekawe, że nawet Niemcy-opozycyoniści musieli parę razy urządzać swe zjazdy na terytoryum Śląska austryackiego i Galicyi. Owe słynne kontrkandydatury niemieckie dr. Wintera (obecnie usuniętego z powodu choroby z areny politycznej) zostały tu uchwalone. Tak samo tu się odbyło owo zgromadzenie robotników niemieckich, na którem osławiona Róża Luxemburg tylko przez oddanie własnego głosu zapobiegła uchwaleniu gwałtownej rezolucyi, ostro piętnującej jej warcholstwo antipolskie. Jednem słowem sąsiedztwo Galicyi niejednokrotnie już ratowało w potrzebie ludzi, obdarzonych konstytucyą pruską, ale niemogących z niej korzystać.

Dnia 26 do Szczakowej przybyło przeszło tysiąc Górnoślązaków z różnych stron starej ziemicy piastowskiej, a jednocześnie z nimi stawili się i szpiedzy pruscy w celu baczenia, czy ludziom, oddychającym innem, wolniejszem powietrzem, nie wymknie się jakieś słowo gorętsze, za które można będzie śmiałków pociągnąć do odpowiedzialności po powrocie do domu. Wzgląd na tych aniołów stróżów niewątpliwie krępował języki, to też mowy, wypowiedziane na wiecu, wypadły dość blado. Najlepiej mówił, bo nie potrzebował się krępować, pewien robotnik galicyjski z pod Szczakowej. Przemówienie jego odbijało od innych nietylko formą, ale i treścią — jasnem zrozumieniem zadań polityki ludowej.

Główny referat objął 63-letni starzec, gospodarz Kupiec z Łąki w pow. Pszczynskim. Mówił rzewnie i wzruszająco, ale bez tych akcentów siły, jakieby licowały z charakterem zebrania, mającego przecież nie żalić się, lecz protestować. Po Kupcu zabrał głos p. Korfanty, wyjaśniając, jak ciężkiem brzemieniem przywali nowa ustawa kolonizacyjna lud polski, tak wiejski, jak miejski. Po kilku jeszcze przemówieniach uchwalono z zapałem rezolucyę, protestującą przeciwko ustawie antipolskiej, która obecnie stała się już prawem obowiązującem, gdyż została przyjęta w trzeciem czytaniu w sejmie pruskim — przeciw głosom Polaków, centrowców i wolnomyślnych.

Świadomość tego, że projekt ustawy kolonizacyjnej lada dzień sta ie się ustawą, przyspieszył w znacznym stopniu sprawę parcelacyi nabytych już przez instytucye parcelacyjne posiadłości ziemskich. Banki parcelacyjne, nie chcąc dać się zaskoczyć uchwaleniem ustawy, rozparcelowały nabyte majątki, obniżając dość znacznie cenę ziemi. Pojedynczy właściciele niemieccy w wielu miejscach (zwłaszcza w Prusach Zachodnich) spieszyli sprzedawać ziemię parcelantom-Polakom, bojąc się utracić tak dobrze płacących nabywców, gdyż po zatwierdzeniu nowej ustawy ceny ziemi niechybnie spadną. W Prusach Zachodnich w ciągu ostatnich kilku miesięcy przeszło w ręce chłopów polskich sporo parcel kilkunasto i kilkudziesięciomorgowych.

Bądź co bądź, ruchliwej działalności spółek i banków parcelacyjnych położyło kres uchwalenie nowej ustawy kolonizacyjnej.

Gdy wchodzili do jadalni, Aleksander Antonowicz żałował już porywu, któremu z taką nieprzezwyciężoną siłą poddało się jego dobre serce. Radość jednak, choć zatruta, nurtowała w piersiach i szukała ujścia. Widok syna, co przepadł był kiedyś na długie siedm lat, odmładzał go, czynił kroki jego szybszymi, a ruchom odbierał sztywność. Roześmiał się też serdecznie, kiedy Mikołaj, stanawszy przed siostrą i rozcierając zziębnięte ręce, zapytał:

— A ta panienka, to siostra chyba, co?

Ninetka, blada i chuda, siedemnastoletnia dziewczyna, stała zmieszana, uderzając palcami po stole, utkwiwszy w brata spojrzenie swych dużych, wystraszonych oczu. Domyśliła się, że to Mikołaj, którego pamiętała lepiej nawet, niż ojciec i nie wiedziała, co począć ze sobą. Kiedy Mikołaj, zamiast ją pocałować, uścisnął jej rękę, oddało uścisk mocno i omal nie dygnęła po pensyonarsku.

— To pan student, Andrzej Jegorycz, korepetytor Piotrusia, — przedstawiał Aleksander Antonowicz.

— Piotrusia? — zdziwił się Mikołaj — tak, to on już się uczy! Bagatela!

Przedstawiono go jeszcze damie o niezwykle ostrych rysach, która nalewała herbatę, nazwawszy ją poprostu Anną Iwanowną; a podczas gdy on rozglądał się po pokoju, badając, czy się nic nie zmieniło w ciągu lat siedmiu, chciwie wpatrywano się w niego. Było w nim coś dziwnego, niedającego się określić. Postawą, dumnym ruchem głowy, przeniklewem spojrzeniem czarnych oczu, rzucanem z pod stromych, wypukłych brwi, przypominał młodego orła. Jakaś dzikość i swoboda biła od jego włosów, rozrzuconych niedbale; ruchy pewne, ciche, lekkie, tchnęły wdziękiem drapieżnika, wysuwającego pazury, ręce bez wahania znajdowały i brały to, co mu było potrzebnem. Jakby nie zdając sobie sprawy z niezręcznego położenia w jakiem się znajdował, patrzał w oczy każdemu głęboko i spokojnie; nawet gdy spoglądał łagodnie, w jego źrenicach taiło się coś skrytego i niebezpiecznego. Mówił, nie obmyślając słów, rozkazująco, prosto, jak gdyby nie posługiwał się chwiejnym, mimowoli kłamliwym dźwiękiem mowy ludzkiej, lecz wygłaszał bezpośredni sama myśl. W duszy takiego człowieka nie mogło być miejsca na skruchę.

Jeśli zaś to był orzeł, to o skrzydłach bardzo pomiętych w walce, z której, kto wie, czy wychodził zwycięzcą. Zdawało się mówić o tem jego ubranie brudne, niedopasowane, ze śladami noclegów, bo i w niem było coś niepochwytnie drapieżnego, co budziło trwogę i obawę w ludziach dobrze ubranych. Chwilami smukłe, silne ciało gościa przebiegał dreszcz dziwnej bojaźni — kurczył się wtedy cały, a włosy na ciemieniu podnosiły się, jak u jeżącego sierść zwierzęcia i oczy, bystre, złe przeszywały obecnych. Jadł i pił chciwie, jak człowiek, który przez długi czas głód cierpiał lub nie bywał nigdy nasycony i gotów jest jeść wszystko, co podadzą. Skończywszy zawołał:

— Bagatela! — i pogładził się, śmiesznie nieco, po brzuchu. Podziękował ojcu za cygaro i wziął od studenta papierosa - sam papierosów nawet nie miał — i rzekł rozkazująco:

— Opowiadajcie.

Zaczęła Ninetka o tem, jak ukończyła pensyę i jak się jej tam działo. Z początku była zmieszana, onieśmielona, ale że opowiadała już to samo niejednokrotnie, więc zapamiętała wszystkie dowcipne słowa i bardzo była ze siebie zadowolona. Mikołaj niby słuchał i nie słuchał, uśmiechał się, ale niezawsze w miejscach dowcipnych i ustawicznie wodził wypukłemi oczyma po pokoju. Czasem przerywał, odbiegając od przedmiotu.

— Ileś dał za ten obraz? — spytał milczącego i też nieco pobłażliwie uśmiechniętego ojca.

— Nie pamiętam.

— Dwa tysiące — widocznie przejęta szacunkiem dla pieniędzy, odezwała się milcząca dotychczas Anna Iwanowna i spojrzała bojaźliwie na Aleksandra Antonowicza.

Uśmiechnęli się obaj, ojciec i Mikołaj, ale w uśmiechu przemknęło coś wrogiego. Teraz już Aleksander Antonowicz nie krzątał się około syna był podawnemu surowy i poważny.

— Jakże interesy? — spytał go krótko Mikołaj.

Handel ziemią będzie musiał na przyszłość przybrać inne formy i torować sobie drogę krętemi ścieżkami pomiędzy różnymi paragrafami ustaw pruskich.

Nietylko przepisami o tendencyi krzyżackiej walczą z ludnością polską Prusacy. Szerzą oni germanizacyę i kulturalnymi środkami. Oto towarzystwo czytelni niemieckich rozpowszechniło w ostatnim roku 600,000 książek niemieckich, w roku zaś poprzednim 461,000. Sprawozdanie towarzystwa z dumą dodaje, że prawie wszędzie popyt na książki wzmógł się, nawet w wioskach położonych wśród lasów. Jeśli w jakiej gminie czytelnictwo się zmniejszyło, to nie z braku chęci do czytania, tylko z powodu niedogodnego urządzenia. Ogółem istnieje na Górnym Śląsku, głównie w obwodzie przemysłowym, 70 stałych czytelń niemieckich, 64 stacyj dla czytelń wędrownych. Zarząd uważa czytelnie wędrowne za najodpowiedniejsze dla gmin wiejskich. Kilka gmin liczy się w jeden związek i tworzy się dla niego wielką czytelnię. Część książek otrzymuje każda gmina, ale tylko na czas pewien. Potem gminy wymieniają czytelnie, aż cały zapas przejdzie przez gminę. Wtedy czytelnia zostaje wysłana do innego obwodu, a na jej miejsce przybywa nowa.

Po stronie polskiej mało się czyni w tym kierunku. Biblioteczki istniejące a zakładane przez sam lud, nie mogą sprostać zadaniu. Przed paru laty grono ludzi dobrej woli zakrzątnęło się około założenia wzorowej czytelni na Górnym Śląsku. Zebrano trochę pieniędzy i darów w książkach i założono „Czytelnię ludową im. Adama Mickiewicza“ w Katowicach (ul. Stillera, nr. 11). Czytelnia ta, złożona z 700 tomów, jest prawdziwem dobrodziejstwem dla robotników górnośląskich, gdyż posiadając doborowy zapas książek, skutecznie szerzy oświatę i zwalcza germanizacyę. W ostatnich czasach przy czytelni poczęto urządzać wykłady naukowe. Niestety, musi ona walczyć z różnemi trudnościami, przedewszystkiem z brakiem środków, a następnie z bojkotem partyj *Katolika* i *Górnoślązaka*. Ten ostatni nawet płatnego ogłoszenia o czytelni nie chciał zamieścić, jakkolwiek reklamuje wszelkiego rodzaju handle niemieckie.

W Poznaniu powstało nowe pismo *Siła*. Jest ono organem polskiego związku zawodowego. Oprócz *Siły* wychodzi jeszcze w Poznaniu inny organ zawodowy w języku polskim, mianowicie *Oświata*, która jest pismem centralnych związków zawodowych (ogólno niemieckich). Świeżo podczas zatargu w przemyśle malarskim czeladnicy, należący do obu związków szli ręka w rękę, zwalczani przez narodowo-demokratyczny *Goniec Wielkopolski*, który był jednym z inicyatorów założenia polskiego związku zawodowego. Na Górnym Śląsku obok związków centralnych, które tu zawsze silniejszy grunt znajdują, odkąd zabrakło socyał-hakatysty Wintera, a p. Róża Luxemburg straciła i tę garstkę adherentów, jakich jeszcze posiadała, istnieje klerykalny związek (t. zw. „związek daremnej pomocy“), który przez dłuższy czas *Górnoślązak* usiłował zreorganizować. Obecnie partya *Górnoślązaka* przystępuje do zakładania własnych związków zawodowych.

Pośrednik.

Walka o prawo wyborcze kobiet i Kongres międzynarodowy w Berlinie.

(Dokończenie).

Dla zoryentowania się choć najogólniej w działalności kongresu wymienimy ważniejsze tematy, poruszone w każdej sekcyi.

Sekcya I. *Wykształcenie kobiet*: 1) referat ogólny; 2) kobieta, jako wychowawczyni społeczna; 3) kobieta, a macierzyństwo. *Szkolnictwo ludowe:* 1) o obowiązkach społecznych nauczycielki ludowej; 2) położenie nauczycielki ludowej we Włoszech; 3) w Szkocyi; 4) jak szkoła ludowa przygotowuje dziewczynę wiejską do dalszego życia; 5) wspólne wychowanie chłopców i dziewcząt. *Kształcenie* dziewcząt *po ukończeniu szkół elementarnych*. Główną część czasu poświęcono kształceniu kobiet w zakresie gospodarstwa domowego: 1) stopień i organizacya tej działalności w różnych krajach; 2) o zadaniach kobiet inteligentnych w dążeniu do kształcenia kobiet z ludu; 3) równouprawnienie kobiet i mężczyzn w kształceniu po za obrębem szkoły ludowej. *Studya uniwersyteckie kobiet:* 1) w różnych krajach; 2) udział kobiet w pracy naukowej; 3) znaczenie wyższych studyów kobiecych.

Sekcya II. *Gospodarstwo rolne i służba domowa*: 1) kobieta w roli właścicielki ziemskiej; 2) ogrodownictwo, jako zawód kobiecy; 3) położenie robotnic rolnych w różnych krajach; 4) los służby domowej w Niemczech. *Położenie robotnic w przemyśle:* 1) położenie robotnic w Holandyi, w Niemczech, w Anglii i na Węgrzech; 2) praca kobiet a macierzeństwo; 3) wyzysk robotnic, biorących robotę z fabryk do domu; 4) działalność inspekcyi sanitarnej. *Praca kobiet w handlu, na poczcie i w telegrafie*: 1) zorganizowanie pracownic handlowych w Niemczech; 2) Położenie ich w Danii, Anglii. Praca na poczcie i w telegrafie w Niemczech, Austryi i Paryżu. *O dozorczyniach chorych. Praca kobiet w sztuce stosowanej. Kobieta jako literatka* w Anglii, i Niemczech. *Rola kobiety w dziennikarstwie. Praca sceniczna kobiet.*

Sekcya III. *Opieka nad ubogimi, chorymi i rekonwalescentami*: 1) związek kobiet badeńskich; 2) działalność w różnych krajach. *Opieka nad dziećmi i młodzieżą:* odczyt ogólny: 1) opieka nad dziewczętami we Włoszech; 2) o przytułkach dla dzieci; 3) wpływ prawa o opiece na wychowanie; 4) Przytułki dla kobiet chorych umysłowo; 5) przytułki dla niezamężnych matek i ich dzieci. *O zwalczaniu alkoholizmu.*

Sekcya IV. *Stanowisko prawne kobiet*: 1) stanowisko prawne kobiet od czasów zaprowadzenia monogamii; 2) stanowisko prawne kobiet w Belgii, Nowej Zelandyi, Ameryce. *Prawo majątkowe w małżeństwie*: 1) kodeks Napoleona; 2) prawo majątkowe w Niemczech, Holandyi, Anglii. *Władza rodzicielska*: 1) w Szwajcaryi, Szwecyi, Danii. *O opiece w prawodawstwie. Położenie prawne matki niezamężnej i jej dziecka. Dążenia w kierunku podniesienia moralności:* 1) w Norwegii, Holandyi itd. 2) O prostytucyi i domach publicznych; 3) o zadaniach abolicyonizmu; 4) o staraniach zapobieżenia handlowi białym towarem. *Kobiety na urzędach*: 1) historyczny rzut oka; 2) stanowisko w różnych krajach; 3) udział kobiet w deputacyach szkół miejskich w Szwecyi.

Prócz tego zebrania ogólne, wieczorne

— A nieźle. Rozwijają się.

— Nowy dom pan kupił. Na włoskiem. Trzypiętrowy. I fabrykę pan kupił — niemal szeptem powiedziała Anna Iwanowna. Bała się Aleksandra Antonowicza, lecz nie mogła wytrzymać, żeby tego nie powiedzieć — ustawicznie zajęta porównywaniem swego, 556 rubli wynoszącego, kapitaliku, złożonego w kasie oszczędności, z majątkiem Barsykowa, który miał domy, fabryki i akcye.

— Mów dalej, Ninetko — rzekł Mikołaj.

Ale jej sprzykrzyło się to już dawno. Poczuła, ze znów ją coś w boku kłuje i siedziała blada, chuda, prawie przezroczysta, ale dziwnie piękna i wzruszająca, jak kwiat, który poczyna więdnąć. Szedł od niej zapach perfum, przypominających żółtą jesień i piękne zamieranie. Nieśmiały, dziobaty student patrzył w nią uważnie i, zdawało się, też bladł, gdy z jej twarzy znikały rumieńce. Był medykiem a kochał Ninetkę, pierwszą miłością. Nagle zjawił się Fenogen Iwanycz, stary lokaj. Z po za drzwi wyjrzała twarz, jak księżyc, jak on szeroka, czerwona i pozbawiona owłosienia. Był w łaźni, poczem podchmielił sobie trochę i, przyszedłszy do domu, dowiedział się od pokojówki o przyjeździe panicza, z którym niegdyś bawił się w koniki. Popłakując trochę z powodu podchmielenia, a trochę z miłości, naciągnął frak, skropił łysinę perfumami, jak to zwykł był robić pan, i majestatycznie poszedł do jadalni. Za drzwiami postał chwilę, tryumfalnie, jak na przyjazd gubernatora, odął policzki i pokazał się Mikołajowi.

— Fenogeszka! — krzyknął wesoło Mikołaj, a głos mu zadźwięczał, jak dziecku.

— Panicz!—zapiszczał Fenogen i, przewracając po drodze krzesła, rzucił się ku Mikołajowi. Chciał go najpierw pocałować w ramię, ale ponieważ Mikołaj podał mu rękę, więc wyprostował się poważnie i odpowiedział mocnym, aż do bólu uściskiem. Pozwalał sobie myśleć, że jest nie sługą, ale przyjacielem Mikołaja i rad był, że publicznie została mu przyznaną ta godność.

— I oczywiście pijany! — z wesołym podziwem nad stałością przyzwyczajeń Fenogena rzekł Mikołaj, poczuwszy odór wódki.

— Czyżby? — spytał surowo Aleksander Antonowicz.

Wykonywając przeczący ruch głową, Iwanycz cofał się i strzelał w bok oczyma, szukając drzwi, mimo to trafił najpierw na ścianę, a stamtąd dopiero omackiem dostał się do wyjścia. Wszystko to zajęło mu dużo czasu. Zatrzymawszy się w przedpokoju, tkliwie obejrzał tę rękę, którą uścisnął Mikołaj i, niosąc ją przed sobą, jak coś, co mu było zupełnie obce, a kruche i cenne, poszedł do czeladnej. Wogóle cenił się bardzo, ale w tej chwili najbardziej szanowną dłoń częścią jego ciała była prawa ręka.

Dnia tego Aleksander Antonowicz nie pojechał wcale do zarządu. Po obiedzie, w czasie którego pił dużo wina, co go usposobiło pogodnie i miękko, objął Mikołaja w pół i poprowadził do biblioteki. Tu zapalił cygaro i, przygotowując się do długiego słuchania, rzekł dobrodusznie:

— No, opowiadaj teraz. gdzieś był, coś porabiał?

Mikołaj nie odrazu odpowiedział. Po jego ciele przebiegł ten sam dziwny dreszcz strachu, a oczy rzuciły spojrzenie ku drzwiom, głos jednak pozostał, jak przedtem, spokojny i poważny.

— Nie, ojcze. Proszę cię, nie mówmy o moich przygodach.

— Widziałem, że masz portmonetkę zagranicznego wyrobu. Czyś był za granicą?

— Byłem! — odparł krótko Mikołaj. — Ale dość, ojcze.

Aleksander Antonowicz ściągnął brwi i wstał z kanapy. Założywszy ręce pod surdut na plecy, przeszedł się po pokoju i, nie patrząc na syna, spytał:

— Ty ciągle ten sam?

— Jak widzisz. A ty, ojcze?

— Jak widzisz. Idź już, zajęty jestem.

(C. d. n.).

Przeł. *Bruno Winawer.*

były poświęcone następującym tematom: 1) Stan ruchu kobiecego w różnych krajach; 2) Zarobki kobiet; 3) stosunek kobiet do różnych partyi politycznych; 4) walka o prawo wyborcze kobiet; 5) nowa teorya ruchu kobiecego i jego cel ostateczny.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad wyszczególnieniem tematów, nie popartem choćby pobieżnem ich omówieniem, gdyż dostarczy nam to materyału do krytycznego poglądu na kongres. A więc przedewszystkiem pozwoli uprzytomnić sobie chaos, jaki panował w pracy kongresu i jaki powstać musiał w głowie każdego, kto wysłuchał w przeciągu jednego dnia w jednej z sekcyj tyle różnych, często niepowiązanych ze sobą treści. Do powiększenia chaosu niemało przyczyniła się jeszcze konieczność posługiwanie się kilku językami, a wreszcie niezmierna różnica poglądów przemawiających kobiet.

Różnica poglądów, powie ktoś, ułatwia wszechstronne oświetlenie przedmiotu, zbliżenie ludzi rozmaitych przekonań. Zdanie to jest racyonalne w pewnych granicach. Do jakich jednak wyników dojść można, gdy np. w tej samej kwestyi społecznej, zabierają głos przedstawicielki związków nauczycielek, stowarzyszeń chrześciańskich, związków zawodowych, dozorczyń szpitalnych, dam ze sfer burżuazyi, demokratek społecznych itd.?

A więc gdy chodziło o zabezpieczenie zdrowia robotnic, na których ciążą lub ciążyć mogą obowiązki matek, dawały się słyszeć głosy, że dla kobiety pracującej upakarzającemi są prawa wyjątkowe, odróżniające ją od mężczyzny. Gdy demokratki społeczne usiłowały wykazać, jakiem jest niebezpieczeństwem dla zdrowia konsumentów, jeśli w pewnych zawodach kobiety otrzymują z fabryk pracę do domu, oraz okropny wyzysk tej pracy, odzywano się, że należy starać się o utrzymanie tego stanu rzeczy, gdyż daje on możność zarobkowania i tym kobietom, które nie mogą oddalić się od dzieci i obowiązków domowych. Jest to oczywiste niezrozumienie warunków pracy społecznej.

Łatwo pojąć, że wobec obfitości materyału niepodobna było przeprowadzić poważnej, do jakiegoś realnego celu wiodącej dyskusyi. Zresztą cel zwykły został przez uczestniczki kongresu usunięty, zgóry powziętem postanowieniem nie uchwaleniu żadnych rezolucyi. Ruch kobiecy, reprezentowany na kongresie, ma przedewszystkiem charakter mieszczański. Brały w nim wprawdzie udział i demokratki społeczne, na porządku dziennym było wiele kwestyj, dotyczących zarówno sfer posiadających, jak i pracujących, lecz prawa tych ostatnich na samym kongresie pogwałcono w sposób, niemający nic wspólnego z demokratyzmem, gdyż bezpośrednio usunięto je w zupełności od udziału w obradach. Na zebraniach ogólnych, wieczornych, dla licznych gromad kobiet pracujących jedynie dostępnych, nie było żadnej dyskusyi.

Dostęp dla pracowniczek niezamożnych utrudniała też dość wysoka opłata wejściowa, która wynosiła 2 mar. dziennie. Słusznie więc powiedziała p. Lüders, jedna z radykalniejszych przedstawicielek kongresu, że największym jego błędem jest wystawność i przepych. Przystrojenie sal filharmonii, w której obrady miały miejsce, pochłonęły znaczne środki, prócz tego, że damy berlińskie zaofiarowały na czas kongresu wspaniałe gobeliny, dywany i wykwintne meble. Czyżby poważne obrady nad bytem samodzielnym i stanowiskiem społecznem kobiety wymagały tych wszystkich akcesoryj?

Społeczne demokratki niemieckie postanowiły z małymi wyjątkami (między nimi przyjmowała czynny udział w obradach znana demokratka Lily (Gizycka-Braun) trzymać się na uboczu, a nawet zwołały zebranie, na którem zaprotestowały przeciwko bezużyteczności tego kongresu. Na posiedzeniach zresztą przychodziło niejednokrotnie do ostrych starć między społecznemi demokratkami, a przedstawicielkami żywiołów konserwatywnych sfer mieszczańskich.

Przedstawicielki sfer mieszczańskich twierdziły słusznie zresztą, że po za specyalnymi celami, o jakie walczy demokracya społeczna, kobiety całego świata i wszystkich sfer powinny się jednoczyć przeciw wspólnemu wrogowi: uciskowi moralnemu, tamowaniu swobodnego i samodzielnego bytu kobiety umysłowego oraz społecznego; skarżyły się na brak zaufania ze strony demokratek społecznych, z których przecież specyalnemi celami zupełnie się solidaryzują.

Kongres dowiódł jednak, że solidarność ta pozostawia, jak na teraz, wiele do życzenia. Nawet obrady w kwestyi walki o prawo wyborcze ujawniły i wywołały taką różnicę poglądów, że przyszło cieszyć się, iż związek wszechświatowy dla walki o prawo wyborcze wyodrębnił swą pracę z posiedzeń kongresu. Jeśli praca samego kongresu wykazała wadliwość organizacyi i chybiła celu wskutek tego, to z drugiej strony jest ona bogatym i wszechstronnym przyczynkiem do postępów, osiągniętych w świecie całym przez ruch kobiecy. Najwięcej sceptycznie usposobieni przedstawiciele drugiej połowy rodu ludzkiego uderzeni byli obfitością referatów, sięgających daleko po za przeciętną miarę, gruntowną wiedzą i łatwością wypowiadania się publicznie.

Bądź co bądź kongres dowiódł, iż kobiety, nie czekając rozstrzygnięcia sporu, czy kobieta może i powinna dążyć na różnych polach pracy do równouprawnienia z mężczyzną, posunęły bardzo naprzód sprawę swoją. Drukowany protokół posiedzeń dostarczy zapewne sporo materyału faktycznego i statystycznego w tym kierunku. Tymczasem nie mogę wymienić wszystkich mówczyń, które wyróżniły się na kongresie; przytoczę te tylko, których referaty wywołały największe uznanie. A więc Adela Gerhard (Berlin) wypowiedziała piękny odczyt o znaczeniu macierzyństwa, powstając przedewszystkiem przeciw profanacyi tego głębokiego uczucia, wrodzonego każdej kobiecie, nawet najwięcej wykształconej przez nieodpowiednie, często jarmarczne dyskusye. Wykazuje dalej p. G., iż w kobiecie nowoczesnej niejednokrotnie rodzić się musi rozdźwięk między uczuciem dla dziecka a chęcią brania udziału w życiu umysłowem i publicznem; nie martwi się jednak tem zbytnio, przekonana, że jeśli wychowanie dziecka traci coś na tem, iż matka nie poświęca mu całego swego czasu i wszystkich sił, to z drugiej strony zyskuje znacznie więcej przez rozszerzenie horyzontu myślowego wychowawczyni.

Od pierwszego do ostatniego słowa umiała utrzymać w największem napięciu uwagę słuchaczów Amerykanka, p. Perkins-Gilman swym pełnym myśli referatem „O konieczności pracy." Że praca jest związana z zarobkiem to konieczne zło przejściowe obecnej chwili; sama potrzeba pracy jest wieczną. Kobieta czy mężczyzna, biedny czy bogaty, powinien i ma prawo pracować w kierunku, w jakim największe praca jego dać może owoce. O tem, kto ma pracować, rozstrzyga przedewszystkiem wydajność jego pracy. Zaciekawienie wywołał odczyt p. Frisberg „o wspólnem wychowaniu dziewcząt i chłopców w Finlandyi," w którym przedstawiła ona wyczerpujące dane na korzyść koedukacyi. Pani Lydia Kinsmill (Stany Zjedn.) wykazała niebezpieczeństwo dla macierzyństwa z powodu niedostatecznej opieki nad pracą kobiet, popierając swe wywody danemi statystycznemi. Anna Pappritz (z Berlina) w obszernym referacie wypowiedziała przyczyny, dla jakich należy zwalczać prostytucyę. Przyczem nie ograniczyła się na wskazaniu środków doraźnych przeciwko złu, lecz sięgnęła do samych jego podstaw: do wychowania młodzieży i do urządzeń społecznych.

Ciekawym był odczyt o zarobkach kobiet p. Aberdeen, występującej w imię zasady: „za równą pracę równa płaca."

Musimy jeszcze wyjaśnić, że nie należy mieszać kongresu ze związkiem międzynarodowym, liczącym 7 milionów stowarzyszonych członkiń, pracujących stale nad poprawą losu kobiety na wszystkich polach. Z inicyatywy zarządu związku międzynarodowego odbywały się zazwyczaj kongresy kobiece jednocześnie ze zjazdem związku. Dwa lata temu w Dreznie zarząd związku postanowił nie zajmować się dalej zwoływaniem kongresów, lecz niezależnie od niego zebrania swe ogólne organizować. Ponieważ jednak członkinie związku w Niemczech pięć lat temu w Londynie, na ostatnim kongresie zaprosiły zebranych na następny do Berlina, nie chciały zaproszenia cofnąć i własnymi zabiegami przyprowadziły go do skutku.

Dodać trzeba, że najważniejszym wynikiem obrad obecnego zjazdu związku kobiecego było założenie stowarzyszenia dla walki o prawo wyborcze, o czem pisaliśmy na początku.

E. S.

KILKA CYFR
z statystyki kryminalnej.

Podług danych statystyki sądowej liczba przestępstw w państwie rosyjskiem zwiększa się stale, a okrąg sądowy warszawski, obejmujący dziesięć gubernij byłego Królestwa, wyróżniające pod tym względem zajmuje miejsce.

W miarę przyrostu ludności zwiększa się też ilość dochodzeń śledczych w sprawach kryminalnych. Kiedy w r. 1895 stanowiła liczbę 22,943, w r. 1899 dosięgła 24,818; wzrost ten jednak nie powinien nikogo dziwić, jest on naturalnym wynikiem powiększenia ludności oraz znaczniejszego urozmaicenia warunków życiowych. Natomiast inne cyfry zastanawiają każdego, kto przyjrzy się blizko tablicom statystycznym kryminalistyki sądowej: pod względem ilości dochodzeń śledczych w sprawach kryminalnych przewyższa nas jeden okrąg sądowy, a mianowicie Irkuck. Na 100,000 ludności wypada rozpoczętych dochodzeń kryminalnych: w okręgu warszawskim — 280, w irkuckim — 321, w wileńskim — 275, w petersburskiem — 266, odeskim — 248, kijowskim — 235, kazańskim — 174, moskiewskim — 165, charkowskim — 163 i saratowskim 143. Średnia ilość dochodzeń karnych w Rosyi europejskiej i azyatyckiej wynosi, 210 na 100,000 ludności, czyli o 70 mniej, niż w okręgu warszawskim.

Myliłby się ktoby myślał, że na tak dziwny stosunek ilości przestępstw wpływa wielka liczba spraw drobnych, jak w samej Warszawie, tak w calem Królestwie. Warszawa w danym razie żadnej roli nie odgrywa, ponieważ ilością dochodzeń karnych przewyższa ją Moskwa — 363 i Petersburg 360, gdy w Warszawie bywa ich zaledwie 236 na 100,000 ludności. W przytoczonej wyżej statystyce przestępstwa drobne nie zajmują tak dużo miejsca. Jeżeli bowiem zwrócimy się do zbrodni najniebezpieczniejszej tj. do zabójstwa, to okaże się, że okrąg warszawski i pod tym względem ustępuje tylko Irkuckowi. Na sto tysięcy ludności wypada zbrodni za-

bójstwa w okręgu irkuckim — 39, warszawskim — 12, kazanskiem — 11,5, petersburskim — 11,5, odeskim — 11, wileńskim 10, — kijowskim — 8, charkowskim — 7,5, moskiewskim — 7,5, saratowskim — 7.

Przyjrzyjmy się teraz przestępcom, tym smutnym przedstawicielom ludności miejscowej.

W guberniach: Moskiewskiej, Zabajkalskiej, Ołonieckiej, Astrachanskiej na 100 osądzonych wypada od 42,2 do 44,3 umiejących czytać i pisac, ogólny stosunek w tym wypadku dla całego państwa wynosi 36,1% na stu, w okręgu warszawskim jedna tylko gubernia Kaliska dochodzi do tej normy, gdzie na 100 osądzonych wypada 38 piśmiennych. W gub. Suwalskiej mamy ich już tylko 29,5; Siedleckiej 22,4; Warszawskiej 20,3; Płockiej 18,4; Kieleckiej 18,6; Piotrkowskiej 17,3; Łomżyńskiej 13,7; Lubelskiej 12,9. Czyli, że w tablicy zestawienia procentu piśmiennych gubernie okręgu warszawskiego stoją na ostatnim planie, a między niemi plącze się tylko jeszcze syberyjski okrąg Siemipałatyński z procentem piśmiennych 18,3 na stu osądzonych.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, ze osądzeni wszędzie prawie rekrutują się przeważnie z warstw tych samych, dojdziemy łatwo do przekonania, że warstwy te u nas stoją daleko niżej pod względem oświaty, niż na wschodzie.

Smutnego widoku rozpatrywanego przez nas obrazu dopełniają statystyczne dane o ilości kobiet i nieletnich pomiędzy osądzonymi. Logika i fakty świadczą, ze im społeczenstwo stoi wyżej pod względem kultury i oświaty, tem mniej powinno się spotykać i jednych i drugich między przestępcami, tyczasem największa ilość kobiet bo 19,3 na 100 osądzonych widzimy w okręgu warszawskim, 18,7 w wileńskim, 15,6 w petersburskim; 15,3 kijowskim; 12,8 w Charkowskim; 10,7 w saratowskim; 5,1 w irkuckim; 3,8 w moskiewskim. Zapewne, ze na procent osądzonych kobiet duży wpływ wywiera ich stosunek liczebny w danej miejscowości, ale pomiędzy wymienionymi okręgami, zdarzają się niektóre w warunkach prawie zupełnie jednakowych, pomimo to procent w warszawskim okregu znacznie przewyższa inne. Zupełnie to samo zjawisko daje się zauważyc w statystyce przestępców małoletnich: na 100. osądzonych w warszawskim okręgu, było ich 3,8%; w petersburskim 3,4; w wilenskim 3,1; odeskim 2,9; charkowskim 2,4; kijowskim 2,2; saratowskim 1,7; irkuckim 0,9.

W smutnej tej statystyce jedyną pociechę stanowią dane zebrane z całej Rosyi, tyczące się rozsegregowania przestępców podług narodowości za kilka lat ostatnich. Z danych tych dowiadujemy się, że ilość przestępstw śród osób pochodzenia polskiego stale się zmniejsza. Kiedy bowiem w roku 1896 procent Polaków z pomiędzy 100 osądzonych wynosił 16,6, a w 1897 podniósł się do 17; już w roku 1898 spadł do 15,8, a w 1899 do 14%, podobny objaw daje się zauważyć w danych, zebranych dla dla ludności litewskiej: w r. 1896 — 2,8%, w 1897 — 2,3 i żydowskiej: w roku 1896 — 6,5, w 1899 — 5,9%. Przeciwny objaw spotyka się u Łatów i Łotyszów, gdzie procent 3,7, w r. 1896 podniósł się do 3,8, w 1899 r. i u Rosyan, których procent podniósł się z 63,1 w r. 1896 do 66,5 w roku 1899.

St. Staniszewski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

On pluje...

Podczas gdy inni pracowali, walczyli, ginęli — on pluł. Plucie jednostkowe nie zadawalało go, więc przebierał się w najrozmaitsze pseudonymy i udawał plujący tłum. Z najrozmaitszych stanowisk i pod najrozmaitszemi imionami za granicą i w kraju rzucał swą ślinę bez odpoczynku i wyboru, bacząc tylko na to, ażeby ona nie padała niżej lub obok, lecz wyżej niego. Czasem dostał za tę złośliwą swawolę dotkliwy morał, o którym szybko zapominał, zwykle zaś mijano go z pogardą lub obojętnością. Wielu nawet nie wiedziało, że on ich opluł. To go nie zniechęcało. Przeciwnie, bezkarnością rozszerzał sobie coraz bardziej granice swobody plucia. Na *Prawdę* i jej współpracowników pluł wielokrotnie; jednego z nich obrzydził znowu w pewnym tygodniku warszawskim, który jest jego stałą, tutejszą spluwaczką. Nie wymieniamy ani nazwiska tej plującej radykalno-dziennikarskiej armatki, ani tytułu pisma, w którem ona strzela, bo chodzi nam tylko o znamienny objaw w pewnej gminie radykalizmu, której wójt i sołtys uszczęśliwiają swoją gromadę — a jak u nas gromadkę — opluwaniem sąsiedniej. *p.*

Dobra nowina.

„Odbyło się znowu posiedzenie w sprawie trzeciego mostu.“ Które? Tego żadna pamięć ludzka nie powie. Ażebyśmy zaś nie łudzili się przedwczesną radością, dzienniki dodają, że i ta narada nie miała charakteru decydującego, gdyż dotychczas jedyną rzeczą postanowioną i pewną jest tylko to, że budową kierować będzie w każdym razie inżynier Marszewski. Dzięki i za to — a dzięki zarówno w imieniu miasta, które się dusi bez koniecznej arteryi komunikacyjnej z drugim brzegiem Wisły i w imieniu pożyczki, która tak długo czeka zużytkowania a musi płacić procenty, ale także w imieniu biedaków, daremnie poszukujących pracy, którzy odetchną, dowiedziawszy się, że... budowę w każdym razie prowadzić będzie inż. Marszewski. Będzie to dla nich znakomita ulga w przymusowem bezrobociu. *h.*

Improwizacya ekonomiczna.

Każdy szewc, niesłuchający przysłowia i wysuwający swój rozum po za granice kopyta, jest śmieszny. Żaden zaś cech ludzki nie grzeszy częściej i bardziej w tym względzie, niż dziennikarze. Ten sam mędrzec tworzy z siebie ostatnią instancyę dla spraw malarstwa, teatru, literatury, hygieny, przemysłu, handlu itd. Rzeki atramentu przepływają przez kolumny pism i wpadają do wysychającego ciągle a największego ze wszystkich oceanu blagi, nie przyniósłszy nikomu najmniejszej korzyści. Ludzie bowiem, żyjący z wyrabiania drukowanych gadanin, ustawicznie improwizują: dziś przychodzi im pomysł pisania o reformie szkół, jutro o żywieniu się ludu, pojutrze o nafcie, a w żadnym z tych wypadków nie badają niczego, nie zbierają wcale dowodów, nie gromadzą materyałów, tylko „kropią z natchnienia.“ Jedną z najulubieńszych ich fikcyj jest wmawianie w społeczenstwo nasze, że ono jest pierwszorzędną potęgą przemysłową i że powinno zdobyć dla swych produktów najodleglejsze rynki świata. W ostatnich tygodniach upatrzono bliższy — Galicyę. Według pewnego ekonomisty, którego wywody znalazły natychmiastowy i głośny rezonans w prasie, moglibyśmy bardzo łatwo wyprzeć cudzoziemców z tej dzielnicy — ale czem? Każdy doradca takiego zdobywania i wypierania czuje, że niepodobna całkiem odmówić odpowiedzi temu pytaniu i trzeba wskazać bodaj kilka artykułów, które mogą walczyć zwycięzko. Czemże więc zawojowalibyśmy Galicyę? Czekoladą, obuwiem, płótnem i ołówkami? Tak jest: wielkie wszechświatowe firmy Suchardów, v. Huttenów, Hardmuthów rozwiałyby się, jak mgły, przed silnem dmuchnięciem naszych Fruzińskich, Wedlów, Majewskich. Czy takie koncepty można rozbierać poważnie? Całe szczęście, że przemysł nasz nie zwraca na nie żadnej uwagi. *s.*

Życie ludzkie.

W tych dniach wracałem do Warszawy. Na stacyi czekamy na pociąg półtory godziny. Nareszcie nadchodzi! Wsiadamy. Przez okno słychać rozmowę służby pociągowej: „— No już dziś toście się zabardzo spóźnili. Co się stało? — Ano nic, pociąg zabił starszego robotnika. — To i cóż, należało odłożyć go na stronę i jazda.“ — Te proste i szczere słowa zawierały w sobie ciekawą treść: świetnie odmalowały szeroko omawiany i opisywany stosunek jednostki do ogółu. Służy — to dobrze; nie żyje — odłożyć na stronę i jazda! *d.*

Podatek szpitalny.

Do kwestyi stale wywołującej nieporozumienie i zamieszanie należy podatek szpitalny. Niedawno niektóre nasze „dobrze poinformowane“ organy codzienne urządziły wyprawę na rządców domów za to, że ci . nie mają żadnego pojęcia o kwalifikowaniu, kto ma płacić, a kto nie. Zupełnie słuszną byłaby uwaga, wypowiedziana nie pamiętam już w jakiem piśmie, że dziwnem jest wykręcanie się od opłaty, kiedy szpitale u nas potrzebują tyle i tak im brak funduszów. Lecz należy przyjrzeć się mechanizmowi zbierania tej opłaty. Oto każdy ze swoim rublem obowiązany jest stawić się w magistracie. Kto zaś miał choć najmniejszy interes do załatwienia w biurach naszej municypalności, ten wie dobrze, co to znaczy. Chcąc wnieść rubla, należy przygotować się na kilkogodzinne wyczekiwanie, pełne niegrzeczności uwagi różnych urzędników, ścisk, zaduch. Nic więc dziwnego, że każdy stara się uniknąć tej przyjemności. Dotąd było lepiej. Dozorca policyjny odbierał pieniądze na miejscu i wydawał kwity. Dziś nastąpiło udogodnienie — dla magistratu. A przecież tak łatwo byłoby przysłać oficyalistę, któryby obszedł mieszkania. *z.*

Wystawa — dla publiczności.

Goniec podaje wiadomość, że zarząd Salonu artystycznego zamierza urządzić jesienią wystawę „mającą na celu zadowolenie gustów szerszego ogółu publiczności.“ „Miano tu na myśli tę publiczność... która od obrazu domaga się „ładnej bajki“ lub krajobrazów „pendant“ nad kanapę.“ Aby jej dogodzić, ów dbały o „podniesienie skali zainteresowania się sztuką szerszych warstw publicznosci“ komitet ma położyć nacisk„ na kompozycye rodzajowe, krajobraz interesujący itp.

Przywykliśmy już do „artystycznych“ pomysłów Salonu, przyznać jednak trzeba, ze ten nowy należy do najkapitalniejszych. Świetny to sposób szerzenia kultury estetycznej przez dogadzanie mało wymagającym, pozbawionym poczucia piękna piwowarom i innym mecenasom sztuki. Dać im to, czego żądają — zasada kupiecka przeniesiona została jawnie w

podwoje wystawy. Należy Salonowi przyznać wielką zasługę, że pierwszy tak szczerze i jawnie zrywa z faryzeuszowską pruderyą i jarmarku nie mianuje służbą sztuce, ale nazywa rzeczy po imieniu. *b.*

Rady.

Kwestya bezrobocia poruszyła nieco dziennikarzy. Dotychczas poprzestają przeważnie na konstatowaniu faktów i oświetlaniu położenia. Od czasu do czasu pojawia się jakiś głos, proponujący sposób zaradzenia klęsce. Do nich należy ogłoszony w *Gońcu* list jednego z ziemian, zwracający uwagę na brak rąk roboczych na wsi. Że niektórzy z robotników, pod naciskiem głodu przyjmą i najlichszą pracę na wsi, to nie ulega wątpliwości. Ale charakterystyka stanu roboczego, zawierająca się w tym liście otwartym, jest mylna i zdradza absolutną nieznajomość rzeczy. Nie dla przyjemności miejskich chłop rzuca wieś, lecz dlatego, że i on nie chce przymierać głodem i być na łasce i niełasce pana. Po za tem położenie dzisiejsze nie zostało wywołane tem twierdzeniem socyologicznem, że „dzisiejszy człowiek jest taki, że gdy darmo jeść dostanie, pracować nie zechce.“ Kto zna bliżej robotnika naszego, ten wie, jak on niechętnie korzysta z wszelkiej filantropii. Wobec kryzysu niezbędnym i wielce pożądanym jest każdy głos, przychodzący z radą. Lecz dziś, kiedy jeszcze nic nie zrobiono, kiedy ogół tak obojętnie przyjmuje ciągle płynące wiadomości o zatrważającym wzroście ludzi bez pracy, ostrzegać, aby „nie zrobić więcej złego, niż dobrego“ co najmniej zawcześnie. *r.*

BADANIA NAUKOWE.

W miejskich murach.

Wiek ubiegły rozbudził tyle sił drzemiących, stworzył nieznane pierwej w swej szybkości tempo istnienia, przywołał do życia tak wielkie skupienia ludzkie, że i niepospolity rozwój miast zapisuje się zazwyczaj na jego rachunek. Świetna ilość mieszkańców, bijąca w oczy, wspaniałość gmachów okazałych, okalających ogromne place, ogłuszająca zgiełkliwość życia gospodarczego i płynących ulicami fal ludzkich musi łudzić każdego, kto w świadectwie zmysłów szuka znaczenia rzeczywistości. Po za ogromem, wzbudzającym podziw, po za pięknem, wywołującem zachwyty i ruchliwą powierzchnią, która zdradza kipiącą głębię, odebrała przecież nowoczesność miastom całą ich dawniejszą potęgę. Rozwój miast, łudzący pozorem wielkości, był w istocie wolnem staczaniem się z zajmowanych wyżyn w padoły równości, kres znaczące dawnej wielkości.

W obrębie murów miejskich widziały wieki średnie całość polityczną i gospodarczą. Przewaga władzy spoczywała — zależnie od układu sił ekonomicznych, geograficznego położenia miasta — w ręku cechów rzemieślniczych, lub gild kupieckich. Miasta północno-włoskie, nadbałtyckie, niektóre szwajcarskie (Zurych, Bazylea) i austryackie (Wieden), które bogactwo swoje czerpały z pośredniczenia w wymianie międzynarodowej, były to arystokratyczne republiki kupieckie, w których radzie zasiadali z głosem przemożnym przedstawiciele niewielu handlem zbogaconych rodów. W miastach zaś, które czerpały swą siłę z wytwórczości rzemieślniczej, rządziły cechy w szerszym kręgu, przypuszczając współmieszkańców do udziału w radzie, ale nie mniej zresztą zazdrośnie strzegąc swych przywilejów.

Podział pracy między wsią a miastem nie był na początku średnich wieków ściśle przeprowadzony. W obrębie murów miejskich rozciągały się uprawne pola i pastwiska, a główny popyt miejski stanowiły nie potrzeby codziennego życia uboższych mieszkańców, lecz zbytkowne nawyknienia jego bogaczów. Przyodziać się sprowadzoną z daleka szatą, stół zastawić naczyniem obcych kształtów i uraczyć biesiadników jadłem i winem cieplejszych stref, było pierwszą potrzebą, pracą do wymiany mieszkańców miasta. Zaspakajała ją podaż obcych kupców — obcym był zresztą każdy, kto w mieście prawa swojszczyzny nie posiadał — a siła polityczna miast służyła odrazu do kształtowania stosunków wymiennych na korzyść osiadłych mieszczan.

Pierwsze prawa i przywileje dają miastom przedewszystkiem możność taniego kupowania. Miejskie prawo *drogowe* zmuszało obcych kupców do obierania drogi prowadzącej przez miasto, miejskie prawo *składowe* zmuszało ich do wystawiania towarów w mieście na sprzedaż, a inne prawa i przywileje ograniczały prawo pobytu obcych do czasu paro-tygodniowego. Blizki termin wyjazdu czynił kupca skłonniejszym do ustępstw, tembardziej, że niewolno mu było przechowywać w mieście niesprzedanego towaru. Zamiast ładować ponownie swe wozy, kupiec nawet ze stratą brał chętnie każdą, zaofiarowaną mu cenę.

Każde większe miasto miało w wiekach średnich własne „prawa o obcych", których wspólna cecha była chciwość i brutalność. Rysy psychologiczne, zupełnie tym podobne, kierowały czynami rycerzy-rabusiów. Mieszczańska „legalność" godnie uzupełniała szlachecką „rycerskość". Panujący książe, dla którego siła podatkowa miast była poważnym źródłem dochodu, zatwierdzał chętnie owe łupiezkie prawa i przywileje, pośrednio zapewniające mu też korzyści. Niejedno prawo miejskie było z góry umówioną zapłatą za uchwalony podatek lub pożyczkę, których koszta pokrywał obcy — wróg.

Z rozwojem podziału pracy między wsią a miastem, z rosnącą wraz z nim wymianą użytków codziennych, miasto i w obec wsi zajęło stanowisko dyktującego prawa wyzyskiwacza. Szlachta nietylko długo sama nie opłacała podatków, ale i ujarzmiony przez się ekonomicznie lud czyniła niezdolnym do ponoszenia w większej mierze innych ciężarów: dlatego też w zatargach gospodarczych między wsią a miastem, które się teraz rozpoczęły, panujący kładł swą siłę zazwyczaj na szalę korzyści miast. W uzupełnieniu prawa o obcych powstają prawa targowe i przepisy celne, na których się opiera cała egoistyczna polityka przemysłowo-handlowa miast średniowiecznych. Jej zasadą jest upośledzenie drugiego na własną korzyść.

Ogromnie zawiłe i szczegółowe prawa o „sprzedaży z pierwszej ręki" („Verkaufsgesetzgebung"), o targach miejskich itd. zmierzają z niesłychanem wyrafinowaniem do kształtowania podaży i popytu między kupującym mieszkańcem miasta a sprzedającym wieśniakiem w ten sposób, aby w walce konkurencyjnej pierwszy znalazł się w jak najkorzystniejszem, drugi w jak najniekorzystniejszem położeniu. Handel obnośny po wsiach, który bodaj w części mógłby wieśniaków uwolnić z zależności od miejskiego kupca był zakazany.

Wieśniak nie śmiał również sprzedawać swoich płodów w własnej chacie, gdzie swobodne oczekiwanie kupca zapewniłoby dogodne stanowisko. Z płodami surowymi: zbożem, nabiałem, owocami miał prawo wejść w mury miejskie tylko wieśniak-producent i to jeszcze w pewne dni, w pewnych, oznaczonych godzinach. Czego w tym czasie nie sprzeda, zabrać z sobą musi, co znowu przymus taniej sprzedaży wytwarza.

Każde miasto zosobna w wytrwałym, z zaciekłością nieraz prowadzonym boju, zdobywa jeden przywilej po drugim układami i pieniędzmi, zapewnia sobie polityczne i gospodarcze korzyści. Mieszczaństwo stanowi ściśle zespoloną, zwartą jedność, przyjmuje do swego grona tylko ludzi zamożnych, zdolnych do złożenia pewnej opłaty i pozwala się wycofać tylko takim, co wykup złożą w gotówce i dadzą uroczyste przyrzeczenie płacenia nadal podatków, ręczenia za długi miejskie. Rada miejska, znajdując zawsze skuteczne poparcie w ciasnym egoizmie i silnym patryotyzmie lokalnym mieszczaństwa, występuje zbrojna w całą swą istotnie znaczną potęgę, ilekroć zachodzi sposobność zniszczenia współzawodniczącego miasta, narzucenia pęt okolicy, podniesienia miejskiego handlu rękodzieł.

Powstaje nader skomplikowany system ceł różniczkowych, stwarzających udogodnienia dla jednych, utrudnienia dla drugich, zależnie od tego, jakie nadzieje lub obawy przywiązywane są do stosunków sąsiedzkich. Opłaty za pojedyncze artykuły podlegają ciągłym wahaniom, to znów ustępują miejsca zupełnym zakazom dowozu, wydawanym w interesie wytwórców miejskich. W handlu miejskim spotykamy już w XIII wieku pierwsze zaczątki wiary w „korzystny bilans," która się tu objawiła w ograniczeniach wywozu pieniędzy i szlachetnych kruszców. Osobne prawa miejskie zmuszały kupców przyjezdnych do nabywania na miejscu towarów za otrzymane ze sprzedaży pieniądze

Miasto nie znało ponad sobą pana, ani też jedności większej ponad obręb własnymi murami objęty. Książe panujący był dla nich siłą, której pozyskanie dla celów własnych zależało od ofiar pieniężnych, cennym sprzymierzeńcem, a czasami znów zazdrosnym, ale niestrasznym wrogiem, któremu jawnie odmawiano posłuszeństwa. Miasta rozporządzały własną siłą zbrojną, zawierały między sobą przymierza, dzieliły się panowaniem nad lądem i morzem. (Hansa i Wenecya!)

Przymierza między miastami, w których ni panujący, ni wieś udziału nie brały, podtrzymywały samolubną politykę lokalną i wtedy jeszcze, gdy przeżyły się już podstawy, na których długo spoczywała. Prawa miejskie i przywileje, cła miejskie i moneta, dzieląc Europę środkową na mnóstwo światków mikroskopijnych, odrębnych całości gospodarczych i politycznych, stały się przeszkodą w rozwoju ekonomicznym i technicznym. Druga połowa XVI wieku i wiek XVII stają się epoką, w której wszystko prze ku nowym kształtom życia gospodarczego, obejmującym wielkim kręgiem państw terytoryalnych dawne rozrzepione interesy. W Indyach, w Ameryce otworzyły się nowe przestrzenie i widoki dla handlu światowego. Rośliny korzenne, złoto i srebro kolonij zamorskich zapowiadały niezmierne bogactwa krajom, które się na czas po łup zgłosić będą umiały. A były one tylko dostępne w oparciu na silnej flocie i potężnej organizacyi państwowej i kupieckiej. I wewnątrz Europy nie mniej ważne zaszły zmiany: poczta ułatwiała porozumiewanie się, weksle i świeżo powstające wielkie domy bankowe zrodziły daleko sięgający kredyt; pierwsze gazety roznosiły szybko wiadomości i w połączeniu z pocztą przetwarzały wymianę i komunikacyę. W poszczególnych krajach wytworzył się przytem geograficzny podział pracy. W niektórych okolicach lub miastach rozwinęło się sukiennictwo lub garbarstwo, w innych wyrób materyi lnianych, bawełnianych, szkła itd. Dawniejsze rękodzieła miejskie tworzyły zadawalającą potrzeby całość — teraz były one tylko ułamkiem, który po-

trzebował uzupełnienia. Wszystko to parło do zorganizowania gospodarstwa na szerszej podstawie, do przemiany gospodarki miejskiej na państwową i narodową.

Nowo powstające państwa były to już ciała gospodarcze, które służyły świadomie ekonomicznym potrzebom całej ludności i świadomie oddały swą finansową politykę w służbę gospodarki krajowej. Państwa wielkie znała już starożytność, ale nieznane jej było to wewnętrzne stopienie się w rzeczywistą całość przez jednolitą politykę gospodarczą, przez podział pracy i wymianę. Zadania, które niegdyś spełniało miasto w obrębie własnych murów, objęło teraz państwo na szerokiej przestrzeni gospodarki narodowej. Ochrona na zewnątrz, ustawodawstwo i zarząd na wewnątrz, polityka handlowa, celna i monetarna przeszły teraz do rąk nowych, potężniejszych, miastu pozostała rola służebnika. A choć państwo nowoczesne wiele zadań swoich przelało na zarząd miasta, na gminę miejską, rozszerzając znacznie zakres jej działalności, całą swą treść i prawne podstawy bytu bierze ona teraz z obcej ręki. Przestało miasto istnieć na zewnątrz, jako czynnik polityczny, przestało wywierać wpływ bezpośredni na rozwój gospodarki społecznej i spadło do znaczenia jednostki wyłącznie administracyjnej na równi z gminą wiejską. Miasta krociowe, milionowe nie wchodzą w układy z monarchą, nie prowadzą wojen, nie zawierają sojuszów, nie mają do tego ni siły, ni władzy. Z murów miejskich, które obejmowały niegdyś przestrzeń, czyniącą „wolnym niewolnego,“ pozostały ledwie gdzieniegdzie szczątki, mające wartość zabytków historycznych; ale rozwój nowoczesny, który strącił miasto z zajmowanego niegdyś wywyższenia, poruczył mu spełnienie ważnych, nowoczesnym potrzebom odpowiadających, zadań.

Gospodarka miejska stworzyć ma teraz odpowiednie warunki zdrowotne dla potężniejących ciągle mas miejskich, najlepsze dla wytwarzania i wymiany dóbr, ułatwić współżycie społeczne. Cały ogromny dział hygieny miejskiej, począwszy od mieszkań aż do chowania zmarłych, od zaopatrywania w wodę do sprzątania odpadków i kanalizacyi, od urządzania hal targowych do nadzoru nad rzeźniami i piekarniami — wszystko to podpada pod zakres administracyi wielkomiejskiej, nie wyczerpując sił jej w zupełności. Do pieczy o cielesne dobro mieszkańców miasta przyłączają się tu jeszcze starania o duchowe wykształcenie: szkółki ludowe, czytelnie, muzea, galerye, szkoły techniczne, przemysłowe i handlowe bywają zakładane i utrzymywane kosztem miasta.

I druga grupa administracyjnych zadań nowoczesnego miasta — stworzenie najlepszych warunków dla produkowania i wymiany towarów—nakłada na nie niemniejszy ciężar pracy i odpowiedzialności. Szybkość i bezpieczeństwo komunikacyi wymagają ciągłego rozszerzania starych ulic i zakładania nowych. W miarę, jak dzielnice rozszerzają się, trzeba je łączyć z jego ośrodkiem omnibusami, koleją i zastępować przeżyte środki komunikacyi lepszymi, dogodniejszymi. Wszelkie korzyści, płynące z gęstego skupienia ludności, które daje wielkie miasto, grożą zanikiem z ogromem przestrzeni, którą kolosstolica w siebie wchłania. Tylko natychmiastowe, umiejętne stosowanie przezwyciężających przestrzeń i czas zdobyczy techniki, może temu przeciwdziałać.

Wyparcie prywatnego przedsiębiorcy z tych wszystkich dziedzin podaży, których potrzebę stworzyło miejskie współżycie i miejska kultura, powszechnie prawie uznano już jako obowiązek gminy. W nierównym stopniu wprowadzono je w czyn w rozmaitych miastach, ale wszędzie już puste frazesy liberalne o niewkraczaniu w sferę zarobkową obywateli ustąpiły miejsca przeświadczeniu, że wobec zagadnień stworzonych przez nowoczesny rozwój miast wielkich, prywatna inicyatywa jest niedołężną i wskutek swego jednostronnego uwzględniania zysków szkodliwą dla postępu i ogólnego dobra. Większe i mniejsze miasta przyjęły na siebie rozliczne zadania gospodarcze i wytwórcze i stały się z czasem chlebodawcą, zatrudniającym tysiące robotników. A stąd nowe obowiązki.

Miejska polityka średniowieczna, kierowana silną, jednolitą wolą na zewnątrz, a na wewnątrz znająca tylko zatargi między grupami posiadających—walki między cechami a gildami kupieckiemi—snadnie cichnące w obec chęci wspólnego wyzysku trzecich, powoływała do rady miejskiej tylko przedstawicieli grup uprzywilejowanych. Dla reszty sprawy miejskie, obrona interesów posiadania, były rzeczą obojętną. Inaczej teraz. Proletaryat pracy, który stanowi najważniejszą liczebnie cząstkę mieszkańców miejskich, jest najsilniej zainteresowanym zdrowotnymi urządzeniami publicznymi—bo najmniej posiada środków aby myśleć o własnej hygienie, — największą korzyść ciągnie z szkół publicznych, czytelni, ogrodów—bo najmniej ma środków opłacania nauczycieli, pism i letnich wyjazdów. Zadania nowoczesne gmin miejskich dotykają najżywotniejszych interesów warstw nieposiadających. I obok politycznych stronnictw krajowych i państwowych powstają w obrębie miejskim partye ludowe, których program chce kształtować politykę miejską w sposób, odpowiadający potrzebom mieszkańców biednych, żyjących z pracy rąk. W skład jego wchodzą: tanie mieszkania, biura pośrednictwa pracy, sekretaryaty robotnicze, podniesienie szkolnictwa ludowego, bezpłatne środki nauczania, sprawiedliwy rozkład ciężarów gminnych i t. p. Wpływ na gminę, jako na pracodawcę, uważany jest przez przez partyę ludową, za czynnik doniosły ogólnej polityki zarobkowej i dlatego spotykamy w jej programie żądanie ograniczenia czasu pracy robotników, zatrudnianych przez gminę. wykonywanie robót gminnych w własnych przedsiebiorstwach gminy albo też poruczanie ich wyłącznie przedsiebiorcom, którzy opłacają robotników w przyzwoity sposób (*fair wages*).

Gruby wał przywilejów, który zaledwie tu i owdzie wytrwała walka przedrzeć zdołała, broni dotychczas nieposiadającym dostępu do zarządu miastem. Nawet w krajach, mających powszechne prawo wyborcze do ciał ustawodawczych, ledwie parę miast większych ma w swej radzie zastępców uboższej ludności. Tradycya klasowego egoizmu jest tu jeszcze starsza, a zatem jeszcze silniejsza, a walka rozgrywa się o korzyści drobniejsze, ale bliższe, łatwiej dostrzegalne, a co za tem idzie, z większą zaciekłością bronione.

Brak tu czynnika ponadpartyjnego, który nieraz w państwowem życiu politycznem rozstrzyga zatargi z szerszych punktów widzenia, np. interes dynastyi, całość państwa i dlatogo też świetne stolice nowoczesne, zadziwiające rozwojem, rządzone przez mieszczaństwo, radeby sto lat w przeszłość uciec od tego rozwoju. Ale i tak ostać się one nie mogą przed silnem parciem rzeczywistości, która puka do wrót ratusza. Gminna polityka społeczna, która w słabych zaczątkach rysować się już zaczęła w krajach o ustroju demokratycznym, a w grubych systemach w głowach teoretyków, będzie w przyszłości bodaj czy nie ważniejszym czynnikiem postępu, niż polityka państwowa. Wtedy to nowoczesność miast wielkich i świetny ich rozwój naprawdę ciałem się staną.

Helena Gumplowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

JERZY GISSING.

W ostatnich dniach ubiegłego roku zmarł całkiem u nas nieznany a oryginalny i szczery powieściopisarz i nowelista angielski, Jerzy Gissing. Śmierć zaskoczyła go w sile wieku, w samej pełni rozwoju talentu, w chwili, kiedy po wielu latach walki z największym niedostatkiem materyalnym i z obojętnością ogółu otworzyła się przed nim świątynia popularności i uznania, do której wchodzą tylko wybrańcy losu. Lecz Gissing stanął zaledwie na jej progu i nim zdołał odczuć w pełni wszystkie uroki tej słonecznej krainy, zawarły się nad nim posępne wrota wieczności. Z natury wątły, przeznaczony był raczej do spokojnej pracy uczonego w łatwych warunkach bytu, niż do twardej walki z nędzą, na jaką los go skazał. W „Papierach prywatnych Henryka Ryecroft“ (The private Papers of Henry Ryecroft) daje nam on obraz swego smutnego życia w owym czasie:

„Zapomniałem, że ludzie mogli mieć wakacye. W tej części świata, w której ja mieszkałem, jedna pora roku nie odróżniała się niczem od drugiej. Nie spotykało się dorożek wiozących do kolei podróżnych, wyjeżdżających na odpoczynek. Ludzie dokoła mnie dzień w dzień, niezmiennie szli do pracy, jak ja. Pamiętam chwile takiego wyczerpania, kiedy czytanie stawało się udręczeniem, a z mózgu jednej myśli nie można było wycisnąć; szedłem wówczas do którego z parków, aby głowę odświeżyć. Boże, jak ja wtedy pracowałem!“

Praca ta była walką o życie, mężnie podtrzymywaną w najsroższych możliwie warunkach otoczenia:

„Widzę tę uliczkę na zachodniej stronie Tottenham-Court-road, gdzie z pokoiku na najwyższem piętrze, na tyłach domu przenieść się musiałem do sutereny od frontu. Jeśli dobrze pamiętam, przyczyną tego była różnica sześciu pensów w komornem, a to stanowiło rzecz niemałej dla mnie wagi: ni mniej ni więcej tylko dwa obiady. Raz znalazłem 6 pensów na ulicy, i tak byłem z tego powodu uszczęśliwiony, że do tej chwili pamiętam radość, jakiej wówczas doznałem. W mojej suterenie podłoga była kamienna, stał stół, krzesło, umywalnia i łóżko; okno zakratowane i niemyte naturalnie od chwili wstawienia, wpuszczało światło z ulicy. Tu mieszkałem i tu pisałem. Tak, na tym brudnym, drewnianym stole, gdzie też leżał mój Homer, Shakespeare i te kilka książek, które wówczas posiadałem. W nocy, kiedym już był w łóżku, słyszałem nieraz miarowe kroki policyantów, idących zluzować towarzyszów na stanowiskach. Ich ciężkie stopy potrącały o kraty umieszczone ponad mą głową.“

W takiem otoczeniu, o głodzie i chłodzie, zmuszony nieraz sprzedawać swe ukochane książki, żeby zaspokoić najniezbędniejsze potrzeby, oderwany od wszelkich stosunków z ludźmi, w absolutnem odosobnieniu pracował Gissing gorączkowo—„New Grub Street“ napisał podobno w sześć tygodni — i tworzył posępne obrazy z tego życia, na które patrzał, z tego świata, gdzie ludzie ani bezwzględnie źli, ani też dobrzy, są tylko członkami olbrzymiej, szarej, bezimiennej, pracującej masy („The Unclassed“). Gissing przedstawił ich w mrocznem świetle bezbarwnej jednostajności.

Ten realizm natury szczerej i prostej nie przypadał do smaku czytającej publiczności. Anglik bowiem domaga się w literaturze prawdy i uczciwości, nie lubi jednak dowiadywać się tą drogą, że w jego ukochanej ojczyznie to i owo dzieje się niedobrze. To też Gissing pierwej zdobył sobie sławę i uznanie w Paryżu, niż w Londynie. Francuzi okrzyknęli go „młodym mistrzem" i postawili obok Zoli, choć to porównanie w metodzie i celach wykazywało olbrzymie między obu różnice. Gissing malował życie takiem, jakiem je widział. w utworach jego napróżno szukalibyśmy tezy. Ludzie obchodzą go jako jednostki, jako charaktery indywidualne, rozwijające się i działające swobodnie w sferze zakreślonej obserwacyą pisarza, lecz po za linią jego władzy i woli. Realizm tak powstałych obrazów był przedewszystkiem prawdą, której artysta nie chciał skrywać, głosem upomnienia, krzykiem bólu, wyrazem współczucia dla cierpiących i skrzywdzonych. Zapewne, wzrok artysty nie obejmował całości zycia, nie sięgał krainy słońca, lecz był stale utkwiony w mroki ziemi i tu w przepaściach nieszczęść i nędzy widział i bezlitośnie ukazywał: niesprawiedliwość, podeptane pragnienia, zawiedzione nadzieje.

Wspomnienie tych czasów, kiedy sam bezpośrednio przeżywał to, co opisywał, było dlań zawsze bolesnem. Jeden z jego przyjaciół opowiada, że Gissing nie mógł znieść widoku pewnego domu w Londynie. Gorycz życia wygryza na pamięci niczem niedające się zatrzeć znaki, które jak blizny po przebytych ranach, bolą przy najlżejszem dotknięciu, odtwarzając, nawet wbrew woli i w najdrobniejszych odcieniach, doznane uczucia i widziane obrazy. Podwaja też ona i doprowadza niekiedy do wysokiego wyrobienia zdolność obserwacyjną szczegółów, zdaje się, nadewszystko. Gissing, jak ci, którzy przeszli podobną szkołę, posiadał ją w wielkim stopniu. Zdaje się on dostrzegać wszystko — to co najdrobniejsze, jak i to, co największe. Z początku daje opisy najbliższego swego otoczenia, w miarę jednak jak się rozszerza zakres jego myśli, wyobraźnia wkracza na nowe pole i szuka nowej treści; bierze ją jednak z żywego życia, gdyż Gissing nawet w najdrobniejszych rzeczach mógł pisać o tem tylko, co znał i widział. W tym celu ileż to wieczorów on strawił w najnędzniejszej dzielnicy miasta wśród gałganiarzy, ile godzin przesiedział w szynkach na milczącej obserwacyi, ile razy zmieniał mieszkanie, lokując się na czas danej pracy wśród tych, którzy byli jej przedmiotem. Ta nadzwyczajna sumienność roboty w zakresie prawdy pociągała za sobą konieczne w takich razach wady wykonania pod względem artystycznym. Gissing jest zbyt drobiazgowy w swoich obrazach. Ta skłonność uwydatnia się szczególnie jaskrawo w przedstawieniu charakterów ludzi, wyglądających u niego, jak rysopisy paszportowe. W powodzi cech drobnych zatapia się pojęcie ogólne i do umysłu czytelnika nie dostaje się. Wyobraźnia pisarza nie jest dość żywą, niedość bogatą w inicyatywę twórczą, w natchnienie poetyczne, stąd utworom jego brak uroku wielkiego artyzmu, wymowne są jednak prawdą, szczerością.

Dwa rodzaje powikłań powtarzają się stale w jego dziełach: z jednej strony okrutne rozczarowanie istoty ludzkiej, świadomej całej wielkości i ważności zadań życia, których spełnienie uniemożliwia jej jednak otoczenie, niezdolne je zrozumieć; z drugiej bogactwo, urzeczywistnione pożądania, które los niespodzianie rzuca pod stopy natury słabej, chwiejnej, nieumiejącej korzystać z otrzymanego daru. W obu razach rezultatem jest zawód, gorzkie rozczarowanie, a czasami rezygnacya, granicząca z rozpaczą. Gissing nie szczędzi czytelnikowi żadnego szczegółu, podkreśla wszystkie nędzoty, tarcia źle dobranych charakterów, wszelkie małostki i brudy przeciętnego życia.

Pod przybranym spokojem słów jego czuć oburzenie litującej się, współczującej duszy, wydzierające się pytanie: dlaczego ta biedna dziewczyna, posługująca w sklepie modniarki, ma duszę bohaterki melodramatu? dlaczego ten człowiek, istotnie utalentowany, musi marnować swoje zdolności dla dogodzenia kaprysom samolubnej i lekkomyślnej żony, musi nawet oddać życie dla nasycenia nienasyconej próżności? dlaczego tylu cierpi i łaknie, i poszukuje i nigdy nie znajduje? dlaczego?

Na to pytanie niema odpowiedzi?

Gissing nie umiał patrzeć na życie, jak owa poczciwa gosposia, która ujrzawszy w chlewie świnię, tarzającą się w błocie, wykrzyknęła z zadowoleniem dziękczynnem: „Łaska najwyższego Boga, że nas wszystkich do chlewa nie stworzył!" Na tysiąc niezadowolonych ze swego losu, niewystępujących myślą po za próg domowy, znajdzie się zapewne jedna spragniona, stęskniona dusza, której ciasno i duszno w tym świecie. Nizko jednak przy ziemi trzymają się pożądania wielu, nie brak nawet miłujących swą nędzę. Wszystkim wiadomo, jak trudno przyuczyć włóczęgę do osiadłego, spokojnego życia — on woli głód cierpieć, chłód znosić, w łachmanach chodzić, byle mieć swoje wrażenia.

Kiedy pod koniec dni Gissinga dobrobyt i spokój wytworzyły dlań nowe warunki życia, inną też barwą zajaśniały myśli jego. Ta zmiana daje się już zauważyć w prześlicznym zbiorku „By the Ionian Sea" (Nad morzem Jońskiem). Kto wie, gdyby żył dłużej, może nastąpiłoby zupełne przerodzenie się ducha, starcie dawnych obrazów.

„Sam i spokojny słuchałem fal, kładących się na wybrzeżu, widziałem wieczór, zapadający nad spowitym we mgły szczytem Etny, światełka wybłyskujące nad Scyllą i Charybdą, a spoglądając po raz ostatni na morze Jońskie, żałowałem, że nie jest moje, by w ciszy starożytnego świata módz błądzić po niem bez końca, zapomniawszy o dniu dzisiejszym i wszystkich jego głosach."

Ile smutku w tych słowach: *zapomniawszy o dniu dzisiejszym i jego głosach!*

Zapomnienie przyszło jednak z innej strony — przyniosła je śmierć, zanim ambicye i pragnienia życia artysty zaspokojenie znalazły.

NOWE KSIĄŻKI.

— Stanisław Witkiewicz: **Aleksander Gierymski.** Lwów. Nakład Tow. wydawniczego. Warszawa, księgarnia S. Sadowskiego. 1903, str. 191.

Jak zwykle u Witkiewicza, spotykamy tu na ogólnem tle głównego tematu wiele jeszcze interesujących szczegółów ubocznych, czerpanych bądź z życia naszej kolonii artystycznej w Monachium i Warszawie, bądź charakteryzujących dążenia artystów i obojętność ogółu, wreszcie zawsze ciekawe poglądy samego autora na wiele kwestyj ogólniejszego znaczenia.

Swada i żywość w pisaniu czynią łatwem zapoznanie się z tą poważną i głębszą pracą. Zbytecznem byłoby z naszej strony zachęcać kogokolwiek do niej. Nazwisko autora dostatecznie ją zaleca, a kto już raz tę książkę otworzy, ten nie wypuści jej z ręki aż do ostatniej stronicy.

Artyści zawsze muszą wyprzedzać swe społeczeństwo w poglądach na sztukę. Tak jest zawsze i inaczej być nie powinno. Lecz nasi artyści w wyższym jeszcze stopniu stanowią kontrast ze swem społeczeństwem, gdyż poznawszy inny świat i inną, lepszą atmosferę, jaka ich otaczała w Europie zachodniej, zastają w kraju, jakby pustynię, i po powrocie doznają wrażeń człowieka, który w lipcu obudziwszy się rano, spostrzega pola śniegiem pokryte.

„Życie Gierymskiego — pisze Witkiewicz— było jednem z najnieszczęśniejszych, najsamotniejszych, najbardziej męczących istnień. W naturze jego leżała cała moc najniemożliwiej ustosunkowanych sprzeczności. Był on szczerym do brutalności, do cynizmu a zarazem skrytym i wstydliwym do lęku; był czynnym, energicznym i przedsiębiorczym, a jednocześnie paraliżował go samokrytycyzm, wieczne wątpienie i niepewność; był dobrodusznym i ufnym jak dziecko, a jednocześnie podejrzliwym do manii prześladowczej; był żądnym bliskiego i dobrego stosunku z ludźmi, a razem samotnikiem, który od ludzi stronił, uciekał, który ich obrażał, chcąc się z ich męczącego dlań towarzystwa wydobyć..."

Jest to wyborna i trafna charakterystyka natury Gierymskiego, a z nim może i niejednego z artystów. Nasze stosunki maluje dosadne wyrażenie samego Gierymskiego: „Lepiej być koniem wyścigowym w Polsce, niż malarzem!"

Znaczna część tej książki jest aktem oskarżenia naszego społeczeństwa za jego stosunek do sztuki i to aktem popartym dobitnymi przykładami z życia. Nie dlatego sztuka nasza walczyła i walczy z nędzą, że kraj jest zbyt biedny, „bo ktoby wiedział, ile ten biedny na pozór kraj wydał na zmianę ubrania za każdym sezonem, na zmianę nowalii na stołach, na nowe typy karet i wyścigowych breków, na angielskie uprzęże, konie pełnej krwi, wyścigi i polowania, ile przegrywał w karty w noc jedną, ile wydawał na całe to używanie, w którem chodziło albo o najgrubsze zmysły, albo o próżność, tenby się zdumiał, dowiedziawszy się, co się w tym samym czasie działo ze sztuką."

Często czytamy grube tomy, z których trudno przytoczyć choćby kilkanaście wierszy, a za to bywają małe książeczki, które chciałoby się przepisywać całemi stronicami. Czyż mogą być wymowniejszemi opinie krytyka, niż proste powtarzanie samego tekstu, który w kilku zdaniach wybornie charakteryzuje ducha dzieła? Do takich prac należy i broszurka Witkiewicza, więc na zakończenie przytoczę z niej jeszcze kilka ustępów, malujących tę bezgraniczną abnegacyę i skromność wymagań genialnego artysty, jakim był Gierymski.

„Pardon! — mawiał Gierymski — ja nie chcę zdychać na ogólnej sali, ja muszę zarobić na separatkę! Do djabła! to mi się należy!"

„Dzięki serdecznej życzliwości, z jaką nad nim czuwał rzeźbiarz Antoni Madeyski, Gierymski nie zginął w mętnej wodzie Tybru, nie umarł na sali ogólnej i nie leży w wspólnym dole.

„To skromne ustępstwo ze swej nieubłaganej logiki życie mu zrobiło." *Sierp.*

— Estewa: **Wspomnienia z Riviery.** Warszawa, 1904.

Jedna z najbardziej typowych powieści naszych. Opowiadanie idzie dość żwawo, ma być fotografią życia — to właśnie stanowi typowość tej książki. Realizm zasadza się tu na oddaniu jak można najbardziej szablonowem t. zw. życia rodzinnego. Zycie codzienne, to wyłącznie podług tych utworów, tułające się drobne punkty, czyli, mówiąc często używanym językiem, małe fakty; a przecież i te fakty, najdrobniejsze, najmniej posiadające głębi i tchnienia, są częścią składową życia, lecz nie niem samem. Po za owemi zdarzeniami, na pozór małoznacznemi i najbardziej jaskrawemi, istnieje prawdziwe życie, łączące wszystkie swe przejawy zewnętrzne w jedną całość, nadające najdrobniejszemu zdarzeniu charakter i wyraz. Tymczasem w powieściach, jak „Wspomnienia z Riviery," ujęcie życia zatrzymuje się przy tej zewnętrznej, pustej i istotnie małowartościowej stronie codzienności. Takiego rodzaju powieściopisarstwo nie jest twór-

cząścią, lecz zwykłem przekalkowaniem pewnych zdarzeń. Psychologia szablonowa, opisy przeciętne, język płynny, dość giętki, lecz pozbawiony indywidualności, czyni z tej powieści rodzoną siostrę utworów Rodziewiczówny, Estei i innych. Są one może miłe i zajmujące dla dorastających panienek, trzymanych zdala od zgnilizny „modernizmu,“ co jednak nie wynosi tych utworów ponad przeciętność i szablon.

Notatki literackie i artystyczne

— Stefan Gorski: „Łódź społeczesna“ obrazki i szkice publicystyczne,“ nakł. Rychlińskiego i Wognera.

— H. Jastrzębiec: „Grożne położenie,“ skł. w ks. Sadowskiego 60 kop.

— Adam Świętochowski: „Drogi żelazne w dużych miastach wogóle i w Warszawie w szczególności,“ odbitka z przegl. tech. na dochód kasy wzaj. pomocy i przezorności dla osób, pracujących na polu [illegible].

— Maryusz Zaruski: „Współczesna żegluga morska,“ doki, budowa okrętów żaglowych i parowych, przybory żeglarskie, z 82 rys., str. 181, nakł. Księgarni Naukowej.

— M. Blühr: „Zwyczaje giełdy berlińskiej,“ Łódź, Rychliński i Wagner.

— Słowniczek matematyczny niem.-polski, ułożony przez Zurychskie kółko matematyczno-techniczne.

— K. Estreicher: „Szwargot więzienny,“ Kraków, nakł. Friedleina.

— Ks. Aleksander Jełowicki: „Moje wspomnienia,“ skł. gł. E. Wende.

— Prof. dr. M. Hahn: „O wyborze zawodu“ prace zawodowe a właściwości organizmu, przek. dr. Z. Szymańskiego, nakł. Centnerszwera.

— W. Sieroszewski: „Na Daleki Wschód,“ kartki z podróży przez Syberyę i Mandżuryę do Japonii. Piąta wystawa powszechna w Japonii itd., nakł. Gebethnera i Wolffa

— Ant. Wysłouch: „Ohyda wieku,“ wyd. II, skł. Wende.

Henryk Struve: „Herbert Spencer i jego systemat filozofii syntetycznej. odbitka z Bibl. Warsz., skł. Wende.

— Prof. Heim: „Życie płciowe ze stanowiska dziejów rozwoju,“ odczyt dla młodzieży męzkiej. Słowo wstępne, L. Tołstoja. Łódź. Tow. Nakł. — „Postęp.“

— „Przestrogi i rady zdrowotne dla dorosłej młodzieży,“ oprac. przez lekarzy, wyd. „Poradnika zdrowia.“

— Dr. K. Rozenfeld: „Sen,“ odb. z Biblioteki Warszawskiej.

— Kazimierz Kulwieć: „Materyały do fizyografii jeziora Wigierskiego.“

— Dr. H. Nussbaum: „Zarys fizyologii i patologii pracy mięśniowej,“ nakł. Treptego.

— Wacław Mutermilch: „O materyi promieniotwórczej,“ nakł. *Przyrody*.

— J. Machelski: „Filozofia przyrody w zarysach.“ Cz. 6-a, skł. Wende.

— Dr. J. Stark: „Rozkład i zmienność atomów chemicznych,“ przeł. dr. Bruner nakł. E. Wende.

— An. Gide: „Prometeusz źle spętany,“ Lwów nakł. Altenberga

— Anatol France: „Wybór pism,“ pisma krytyczne, tłom. Sten. Lwow. pol. Tow. Nakł.

— H. Dumolard: „Japonia pod względem politycznym i społecznym,“ tłom. Sarneckiej. Lwów. Pol. Tow. Nakł.

— Dr. Eug. Dühring: „Wyższe wykształcenie kobiet i współczesna nauka uniwersytecka.“ Tłom. St. Brzozowski, nakł. Bibliot. Samokształcenia.

— Sztuka polska — Malarstwo, zesz. IV i V.

— Styl zakopiański, zesz. I — pokój jadalny. Wyd. Altenberga, Lwów.

— „O chorobach zakaźnych,“ pielęgnowanie w domu chorych zakaźnych wieku dziecięcego przekł. dr. Z. Szymanowskiego.

— Dr. Józef Brzeziński: „O Trunkach,“ wyd. Częst. Tow. lekar.

NA MARGINESIE

Jak poprawić rasę ludzką. Wciąż rosnące i stale przy poborach do wojska stwierdzane zwyrodnienie mieszkańców Starego Świata można wytłomaczyć nędzą ludności, gniotącym ją militaryzmem i wyczerpaniem fizycznem. Te same objawy dają się jednak zauważyć w Nowym Świecie, w najbogatszych, najmłodszych i najlepiej zorganizowanych koloniach, gdzie niema ani nędzy, ani militaryzmu.

Dr. Chapple z Melbourne opowiada, że w Nowej Zelandyi liczba głuchych, niemych, waryatów, epileptyków, paralityków, kulawych i niedołężnych wszelkiego rodzaju wzrasta stale w sposób zatrważający, jednocześnie z obniżeniem ceny chleba i powiększeniem płacy roboczej.

Przyczynę tego widzi on w bezładnem i bezmyślnem mnożeniu się ludzi z nieodpowiednich rodziców, gdy najlepsi i najodpowiedniejsi uchylają się od wydawania potomstwa. I najspokojniej w świecie w celu zapobieżenia ostatecznemu zwyrodnieniu ludzkości proponuje chirurgiczne środki dla odebrania nieodpowiednim osobnikom zdolności do rodzenia dzieci. Przedmiotem operacyi ma być jednak nie mężczyzna, lecz kobieta: nietylko taka, która sama jest obarczona jakąś wadą organiczną, ale i ta, co poślubiła zwyrodnieniem dotkniętego mężczyznę. Państwo obowiązane jest czuwać nad spełnieniem tego prawa i zmuszać do poddania się operacyi zapobiegawczej wszystkie jednostki, grożące społeczeństwom przekazaniem niepożądanych dla nich właściwości.

Jednocześnie, na ogół biorąc, statystyka angielska zaznacza powszechne obniżenie procentu urodzin. Według danych urzędowych, procent urodzeń w Londynie spadł w ubiegłym roku do 28,4. W Starym i Nowym Świecie ten sam objaw: im zasobniejsi są rodzice, tem mniej starają się mieć dzieci. Kobiety nadewszystko lękają się macierzyństwa. Dr. Chapple stawia jednak wniosek, aby pary odpowiednie zmuszać urzędownie do wydawania potomstwa, tak jak urzędownie należy zapobiegać mnożeniu się nieodpowiednich: aby karać, jak przestępców, chirurgów podejmujących się operacyi zapobiegawczej na tych kobietach, które powinny zostać matkami.

Do powyższych twierdzeń dr. Galton dodaje żądanie, aby uorganizować hodowlę ludzi na takich samych podstawach, jakich się trzymamy w hodowli dobrych ras bydła. Wszystkimi tymi głosami powoduje jedno uczucie: obawa wymierania ludzkości.

Towarzystwo opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury. W krótkim dość przeciągu czasu po spóźnionem sprawozdaniu za rok 1902, Wydział Towarzystwa rozesłał swym członkom sprawozdanie za rok ubiegły. Działalność Wydziału, jak poprzednio, wyraziła się głównie w robotach i staraniach około ratowania ruin i zabytków. Przystąpiono do podtrzymania, chylących się ku upadkowi, części zamku w Odrzykoniu, naprawy szczątków dawnych murów miejskich koło bramy Floryańskiej w Krakowie, oraz restauracyi pomników znakomitego prawnika Jana Kirstein Cerasina, Chudzicza i Fogelwederów na zewnętrznych ścianach kościoła N. Maryi Panny w temże mieście. Niestety, liczba członków Towarzystwa i, co za tem idzie, fundusze, płynące głównie z ich wkładek, powiększyły się tylko w nieznacznym stopniu. W końcu r. 1903 Towarzystwo posiadało 228 członków wszelkich kategoryj, a obrót pieniężny wyraził się w szczupłej sumie 3,218 koron.

Jako publikacyę doroczną Wydział Towarzystwa, wraz z sprawozdaniem, wydał źródłową i zdjęciami fotograficznemi ozdobioną rozprawę dr. St. Tomkowicza o „Zamku w Pieskowej Skale,“ tego, według słów autora, ostatniego może na obszarze ziem polskich do dziś dnia zamieszkanego zamku średniowiecznego. Jak wiadomo Pieskową Skałę nabyła spółka, która tam chce urządzić stacye klimatyczną.

P. F.

O prawdę

Jako zasadniczy przeciwnik publicystycznych, obszernych dyskusyj „o prawdę“ historyczną, poprzestaję na kilku słowach odpowiedzi faktycznej p. Baruchowi na jego artykuł (*Prawda*, nr. 15).

Punkty 8 i 9 odpowiedzi tyczą się jednego i tego samego zarzutu, którego racyę p. B. uzasadnił swoją odpowiedzią: w pełnej pracy monograficznej nie przytoczył ciekawych dowodów, szczegółów, umieszczonych pierwej w *Ateneum*.

Punkt 10. Cytatami str. 122, 123 autor dowiódł, że podwody i zwózka drzewa były odrabiane za dzień. Gdzie podobne dowody, dotyczące np. przędzenia płótna lub rozmaitych danin?

Punkt 11. Brus na str. 37 „usiłowano założyć (miasto)... ale bezskutecznie; str. 99, „miasto kapitulne Brus“; str. 244 mowa o „placach miejskich.“

Punkt 12. Trudno mi było, krytykując książkę p. B., nie dojrzeć mapy w niej zamieszczonej, lecz nie wystarczała mi ona. Jest to bowiem tylko szkic wsi i rzeczek, zdjętych z mapy topograficznej (nie skopiowanych, gdyż bez dróg i oznaczeń terenu). Mapa ta nie zadawala ani notatki geograficznej, ani historyi Pabianic w XIX w.

Punkt 1. Stanowi *force majeure*, wobec której każdy musi schylić głowę.

Punkt 5. Na podstawie „Regestrów“ sądziłem się upoważnionym do uczynienia zarzutu niekompletności opracowania. Wskazałam jeden fakt (p. 8 i 9). Po za tem bez osobistego poznania materyału twierdzeń konkretnych postawić nie mogę.

Punkty 2, 3, 4, 6 i 7 tyczą się ogólnie zastosowanej metody; przy twierdzeniach moich absolutnie obstaję. Punkt 7 przekonywa mnie, że pono nie doszlibyśmy do zgody. Z punktu widzenia historycznego podobna segregacya „prawa publicznego“ a „prywatnego“ zupełnie nie wytrzymuje krytyki. Chociaż nie prawnik, sądzę, że i prawo nie może uznać przeciwstawienia stosunkom społeczno-politycznym stosunków ekonomiczno-społecznych jako *prawa prywatnego* prawu publicznemu. To, żeby stosunki społeczno-ekonomiczne „bądź wprost wypływały, bądź w ścisłej pozostawały zależności“ (jako skutek od przyczyny?) od stosunków polityczno-społecznych, jest, sądzę, twierdzeniem zupełnie niedającem się obronić.

M. Sokolnicki.

Z PRASY.

— W nr. 26 *Głosu* p. Grotowski w artykule „Z Zakopanego“ opowiada przerażające wprost rzeczy o stosunkach w tej miejscowości; przytaczamy parę ustępów dla dobra tych czytelników *Prawdy*, którzy się tam wybierają:

„Jeżeli komu z warszawiaków zdarzy się, że góral każe mu zapłacić za dorożkę pięć razy większą taksę, to idzie do klimatyki na skargę. Na piąty lub czwarty dzień — „bo się tam nikt nie spieszył“ — skarga idzie do sądu w N. Targu. Za trzy, cztery tygodnie przychodzi wezwanie z sądu na śledztwo, potem na rozprawę, lecz daremnie szukają warszawiaka: on już dawno skończył urlop i wakacye, wrócił do Warszawy, na sąd nie stanął i sprawę zaocznie przegrał, a jeśli przyjedzie na przyszły rok, znajdą go i zapłaci napewno koszta za to, że się śmiał poskarżyć!

Takich wypadów znalazłoby się setki, są jednak jeszcze jaskrawsze.

Dla poratowania zdrowia przyjeżdża czasem do Zakopanego p. W. S., podróżnik i autor. Przed dwoma laty mieszkał wraz z matką, staruszką, jakoś pod zimę na Jaszczurówce. Pani S. robiła popołudniowe zakupy w spółce, poczem wieczorem wracała do domu. Sypał śnieg z deszczem i było już ciemno. Wjechali w lasek za Krupówkami i skręcili ku Jaszczurówce. Naraz woźnica, opiły drab, staje i woła na sędziwą kobietę: „Wyłaźcie, ja dalej nie jadem.“ Nie pomogły przedstawienia staruszki. Zaczął ją szarpać i przez gwałt wyrzucać. Dopiero wsunięty jeden papierek i drugi w łapę nakłonił go do jazdy. W domu przerażona i trzęsąca się od doznanej krzywdy opowiedziała rzecz synowi. Naturalnie, skarga do komisarza. Nie było go, więc p. S. napisał list, który tu dosłownie powtarzam:

„Szanowny panie komisarzu! Wczoraj wieczorem wracała matka moja wózkiem nr. 89. W lesie woźnica stanął i zmuszał matkę moją do natychmiastowego opuszczenia wózka. Zaczął ją szarpać i kupiony w spółce handlowej kosz wyrzucił. Dopiero pieniądze, przez wylękłą matkę moją ofiarowane, skłoniły go, że dojechał do domu. Wymusił taksę kilka razy większą. Proszę pana o ukaranie tego niesłusznego wybryku; wogóle nie skarżyłbym się, ale nadużycia, które nas spotykają, są tak częste, że wszelka cierpliwość się kończy. Górale postępują haniebnie, zwłaszcza ze słabemi istotami, jak bezbronne kobiety. Oświadczam, że w podróżach moich spotykałem się nawet z brodiagami i złoczyńcami, ale ci zachowują się jeszcze względniej wobec kobiet, niż tutejsi górale.“

I cóż, myślicie, stało się? Góral zapłacił dwie korony a wymusił cztery! To się nazywa porządek zakopiański.

...W zakładzie wodoleczniczym—gdzie właściwie samych piersiowych napotkać można—umiera chory radca P. w samo południe, w pełni sezonu, gdy zakład przepełniony. Co tu robić? Cicho—sza do nocy—pokój zamknięto. Jak dotąd zupełnie prawidłowo. W nocy dyrektor zakładu posyła po sąsiada górala, aby ciało odwiózł do kostnicy. Góral bierze trupa jak jakie ścierwo, rzuca na wóz do gnoju między tak zwane osłony-guojnice i jedzie z nim ku kościołowi. Po drodze trup wypada w błoto, koła go kaleczą i miażdżą głowę; na drugi dzień powstaje pogłoska w Zakopanem, że kogoś zamordowano, gdyż ludzie widzieli zbłoconego i pokaleczonego trupa w kostnicy, a nawet sam doktór klimatyczny, F. Janiszewski, ów nieszczęsny bojownik postępu zakopiańskiego, Folkefind drugi, sądzi w pierwszej chwili, że tu coś zaszło; dopiero potem wyjaśnia się, że to był człowiek zmarły naturalną śmiercią w zakładzie leczniczym, zakopiańskim...

...Przedmiotowo rzecz przedstawia się tak: Zakopane nic nie robi samo dobrowolnie. Należy tych ludzi, posiadaczy najpiękniejszego kawałka ziemi, bramy Tatr, zmusić do akcyi roztropnej, do postępowania racyonalnego, do uczciwości. Można to zrobić przez solidarne powstrzymanie się przez jakiś czas od wyjazdu do Zakopanego.

Bieda uczy ludzi rozumu: gdy ta „letnia stolica“ postoi kilka lat pustką, sami górale zrzucą dzisiejszą niecną klikę i zażądają akcyi stanowczej. Zdzierstwo, niedbalstwo, rabunkowe gospodarstwo raz zniknąć muszą.“

— W czasopiśmie wojskowem *Razwiedczyk* gen. Dragomirow zabiera głos o wojnie:

„Kampania — czytamy tam — jest w najwyższym stopniu oryginalną, zarówno ze względu na stosunkowy stan sił, jak i ze względu na teatr wojny. Z jednej strony armia lądowa z nieskończoną linią komunikacyjną — to my; z drugiej armia z krótką linią komunikacyjną, ale przerwaną przez morze — to Japończycy. Morze oczywiście ułatwia wszelkie zaopatrzenia, ale z drugiej strony zmusza armię do utrzymania się brzegów, aby mogła utrzymać z flotą łączność możliwie najbliższą, a najlepiej bezpośrednią.

Teatr wojny można nazwać naukowym, tak wiele bowiem przedstawia na małej przestrzeni sposobności do rozwinięcia różnych operacyj lądowych i wodnych.

Na przestrzeni zaledwie 220 wiorst (od ujścia Jalu do Inkou) ze wschodu na zachód i 280 w. z północy na południe (od Laojanu do Portu Artura) i na sąsiedniem morzu rozegrały się już potyczki morskie, bombardowania, działania minami, a w niedalekiej przyszłości rozegrają się zapewne skomplikowane działania lądowe, z oblężeniem twierdzy nadmorskiej włącznie.“

Generał Dragomirow przyznaje, że Japończycy znają się na prowadzeniu wojny:

„Przedewszystkiem nie rozpraszają się i zawsze dokładnie wiedzą, czego chcą. Kiedy postawią sobie cel, umieją ześrodkować wszystkie usiłowania i nigdy nie spuszczają go z oczu. Jakiż cel mogli sobie stawiać na rzeczonej drodze? Tylko jeden: wyprzeć nas z półwyspu Laotuńskiego. Ale cel ten — to bardzo skomplikowany zbiór różnych celów poszczególnych, określonych przez rodzaj, ilość i rozkład sił zbrojnych naszych i japońskich.

Nasuwa się więc pytanie: w jakiem następstwie kolejnem Japończycy mają prowadzić kampanię? Przedewszystkiem należy osłabić naszą flotę, albowiem póki mogła ona walczyć z Japończykami na otwartem morzu, nie mogli oni myśleć o lądowaniu. I oto zaraz po napadzie d. 9 lutego rozpoczyna się szereg bombardowań Portu Artura i uporczywych usiłowań zagrodzenia wyjścia z niego branderami i torpedami. Po zgubie „Petropawlowska,“ po śmierci naszego niezapomnianego, sławnego Stepana Osipowicza, Japończycy decydują się nakoniec na lądowanie, próbując raz jeszcze zagrodzić branderami wyjście z portu.

Lądowanie mogło mieć cel dwojaki: Port Artura i armię naszą w Laojanie. Ale pierwszym Japończycy nie mogli się zająć, nie zabezpieczając się od strony Laojanu, a więc nadewszystko trzeba wylądować w Korei i wysunąć zasłonę przeciw Laojanowi, a następnie wylądować w pobliżu Portu Artura i przystąpić do oblężenia twierdzy.

Wszyscy wiedzą, że pierwsze lądowanie nastąpiło w Penjanie 10 kwietnia. Generał Kuroki, bez względu na możliwość ataku ze strony gen. Miszczenki w samym Penjanie, po wylądowaniu armii przedsięwziął pochód na Laojan. Nie powstrzymała go również konieczność forsownej przeprawy przez Jalu pod Fenhuanczenem. Tu zatrzymał się, począł fortyfikować pozycye i urządzać sobie podstawę operacyjną, oczywiście pod Wiczu. Pozycya pod Fenhuanczenem, zwrócona frontem do Laojanu, jest równocześnie skrzydłową w stosunku do naszej linii operacyjnej Laojan—Port Artura.

Dalej gen. Kuroki nie pójdzie. W pismach prześlizgnęła się wiadomość, że w pochodzie jego na Laojan nastąpiła „zwłoka.“ Kto oczekuje tego pochodu, ten, zdaje mi się, będzie czekał długo. Jeszcze 20 maja założyłem się z moim znajomym, że Kuroki ze znacznemi siłami dalej nie pójdzie i sądzę, że zakład wygram: nie może tego zrobić, gdyby nawet chciał, ale również nie chce, bo na pozycyi pod Fenhuanczenem zupełnie wystarczająco zakrywa oblężenie Portu Artura, czyli osiągnął swój cel. Jeżeli wypadnie nam iść na odsiecz, to nie będzie można tego zrobić bez wyparcia Kurokiego z Fenhuanczenu, albo też bez wystawienia przeciw niemu silnej zasłony. I teraz już jest rzeczą zupełnie jasną, że Kuroki udaje tylko, że chce iść naprzód, a nic poważnego nie posyła ku Laojanowi. Że się tak wyrażę „wybija on krok na miejscu.“

Ubiegły okres kampanii ze stanowiska Japończyków rozpada się na operacye następujące: 1) osłabienie naszej floty; 2) wylądowanie w Korei i pochód do Mandżuryi w celu zajęcia pozycyi frontowej ku Laojanowi i skrzydłowej ku drodze z Laojanu do Portu Artura; 3) wylądowanie pod tem przykryciem w Pitsewo, 4) rozpoczęcie oblężenia.

Plan ten, jak każdy inny, jest myślową tylko stroną sprawy. Ale jest i inna strona, strona woli — wykonanie, i ta należy do gen. Kuroki. Stosując się do rady Napoleona, aby w każdem położeniu rozwiązywać przedewszystkiem zadanie za nieprzyjaciela, mógł on spodziewać się na swej drodze i napadu na Penjan i czynnej obrony Jalu, a ataku po przeprawie przez tę rzekę. Człowieka, który wedle wyrażenia Napoleona „robi sobie obrazy,“ czyli ulega wyobraźni, mogłoby to, jeżeli nie powstrzymać, to przynajmniej pobudzić do ostrożniejszego postępowania, ale Kurokiego to nie powstrzymało. Widocznie należy on do tych ludzi, którzy wiedzą, że można iść lub nie iść naprzeciw nieznanej przyszłości, ale kiedy się zdecyduje iść, to trzeba to robić, odrzucając wszelką myśl o następstwach.

Prawda, że można się powołać na doskonałą organizacyę szpiegostwa u Japończyków i na uświadomienie Kurokiego o naszych siłach, ale jakkolwiek wielką może być ta świadomość, nigdy nie dochodzi do zupełnej pewności. Mogą nadejść posiłki, może zmienić się rozkład sił, wreszcie na początku kampanii nieznany jest charakter głównego kierownika. Z tego wszystkiego widać, w jakich ciemnościach obraca się wódz przed walką i jak bardzo musi walczyć z sobą, zanim się na nią zdecyduje. Do tego trzeba pamiętać mocno i wiedzieć, że z góry nikt nie może powiedzieć, czy pobije, czy też będzie pobity; że od nieprzyjaciela nie można wziąć naprzód pokwitowania, iż da się pobić i dlatego trzeba mieć śmiałość i ryzykować, byleby gra była warta świecy.

Niektórzy usprawiedliwiają swoje niezdecydowanie obawą wielkich strat, ale popierwsze nikt nie może naprzód znać ich rozmiarów, powtóre cel wszelkiej wojny osiąga się bez względu na straty i nie polega na tem, aby straty były jak najmniejsze, wreszcie wiadomo i to, że strata czasu prowadzi czasem do takich ofiar, jakich nie wymagałaby operacya jak najbardziej stanowcza.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Warszawski urząd gubernialny do spraw fabrycznych ustanowił dla zakładów przemysłowych gub. Warszawskiej, podległych inspekcyi fabrycznej, następujące normy płacy dziennej do obliczenia wynagrodzeń za wypadki przy pracy: dla mężczyzn 64 kop., dla kobiet 39 kop., dla małoletnich chłopców 37 kop., dziewcząt 27 kop., dla dzieci 25 kop. Normy powyższe obowiązują na trzy lata: 1904, i 1905 i 1906.

— Kuratoryom trzeźwości w większych miastach zaprojektowano utworzyć biura pośrednictwa pracy.

— Na zasadzie nowych przepisów, do służby w urzędach pocztowych, telegraficznych i telefonicznych przyjmowane będą kobiety, mające najmniej 18 lat wieku i posiadające świadectwo z ukończenia czterech klas gimnazyalnych żeńskich lub te, które złożyły odpowiedni egzamin. Osoby tej kategoryi po wypróbowaniu ich co do znajomości służby, zaliczane być mogą jako dyetaryuszki z pensyą urzędników 6 kategoryi, a po wysłużeniu 3 lat zaliczane są do 5 lub 4-ej kategoryi urzędników z zapisaniem do listy etatowej. Osoby płci żeńskiej, które złożyły dodatkowe egzaminy z języków francuskiego i niemieckiego, mogą być zaliczane odrazu do 5 kategoryi i otrzymywać awanse na równi z urzędnikami. Kobiety mogą być mianowane naczelnikami oddziałów pocztowych, a posiadające języki cudzoziemskie i znające służbę telegraficzną — naczelnikami oddziałów pocztowo-telegraficznych. Z innych praw, przywiązanych do służby i z dodatków na mieszkania oraz na wyjazdy kobiety korzystają na równi z resztą urzędników.

— Rada m. Lwowa postanowiła własnym kosztem wybudować grób murowany dla Piotra Chmielowskiego.

Szkoły i wychowanie. *Warsz. Dn.* donosi: Kurator warszawskiego okręgu naukowego polecił tymczasowo, zanim nie nastąpi ostateczne rozstrzygnięcie kwestyi przekształcenia zakładów naukowych, żeńskich pry-

watnych, wprowadzić do nich nowoułożone programy wykładów języka rosyjskiego i historyi. Potrzebę wprowadzenia programu tymczasowego usprawiedliwiono tem, że w braku klasy 7-ej na pensyach żeńskich, wychowanki, kończące zakład, nie mają żadnych wiadomości o utworach literatury rosyjskiej w. XIX i o wydarzeniach z dziejów Rosyi i historyi powszechnej, poczynając od końca wieku XVIII. Progrymy tymczasowe dotyczą szkół żeńskich 4 i 6-klasowych, 3 klasowe zaś pozostawiono na zasadach dawnych.

— Osobom, które ukończyły wyższe zakłady techniczne, nadano prawo samodzielnego prowadzenia robót budowlanych.

— Powstał projekt utworzenia przy szkołach ludowych klas rzemieślniczych, w których dzieci włościan mogłyby się uczyć robót stolarskich, ciesielskich, naprawy narzędzi rolniczych itp.

— Radapolitechniki warszawskiej wyznaczyła praktykę wakacyjną 37 studentom z wydziału budowlanego, 32 z wydziału mechanicznego, 8 z chemicznego, 5 z elektrotechnicznego, 8 z wydziału technologii materyałów włóknistych; otrzymali oni zajęcie na kolejach i w fabrykach w Królestwie Polskiem, Cesarstwie i na Kaukazie. Po za tem zarząd kolei Warsz.-Wiedeńskiej przyjął 80 praktykantów z wydz. inżyniersko-budowlanego i mechanicznego gwarantując im płacę w razie owocności ich pracy. Pozostali studenci, dla których praktyka jest obowiązkowa, przyjęli zajęcie bądź płatne, bądź bezpłatne, w różnych przedsiebiorstwach budowlanych.

— Uchwalony już przez Radę państwa projekt powiększenia liczby i kursu szkól rolniczych został od-[illegible].

— „Ogniwo“ Stowarzyszenie akademickie w Wiedniu zawiadamia, że udającym się na studya do tego miasta udzielać będą informacyj do końca września pp. Wiktor Domański (Robynia, przez Gwoździec, Galicya) i Mieczysław Maczyński (Kraków, ulica św. Anny, 9).

— Centralne biuro informacyjne, istniejące już drugi rok w Zurychu, mające za zadanie udzielanie rad, wskazówek i informacyj, wyjeżdżającej za granicę młodzieży polskiej, przypomina, że na wszelkie pytania, dotyczące studyów w zakładach wyższych, naukowych w zachodniej i środkowej Europie, oraz warunków życia w miastach uniwersyteckich, odpowiada natychmiast, jak najdokładniej i bezpłatnie (za przysłaniem tylko marki na odpowiedź, niekoniecznie szwajcarskiej). Adres: Centralne biuro informacyjne (Zurich, Schweiz, Clausiusstrasse, 1). Biuro zastępuje dawne komisye informacyjne w poszczególnych miastach; wszędzie zaś posiada członków-korespondentów, którzy mają obowiązek zawiadomić biuro o zmianach w danym mieście i pomagać nowoprzyjezdnym kolegom i koleżankom, mającym polecenia z C. B. I. Biuro jest instytucyą koleżeńską, założoną i wspieraną prze „Związek Post. Młodz Pol. zagr.“

Literatura i prasa. D 20 lipca r. b. Włochy obchodzić będą 600 rocznicę urodzin Petrarki. Rząd wyznaczył 50,000 lirów na wydanie zbiorowe dzieł poety i tyleż na jego pomnik w mieście rodzinnem Arezzo.

Sprawy ekonomiczne. Według sprawozdania państwowy Bank szlachecki, działający w 9 guberniach zachodnich, nabył od Polaków w 1902 roku 27,677 dziesięcin ziemi; od początku zaś swego istnienia, tj. od roku 1894 — 147 majątków ogólnej przestrzeni 344,825 dzies., na które wydano pożyczek 15,977,400 rubli.

— Na zjeździe przedstawicieli zarządów kolejowych w Petersburgu uchwalono tylko wtedy stosować taryfę ulgową dla towarów i przedmiotów potrzebnych w rolnictwie, jeżeli odbiorcami są rolnicy lub Tow. rolnicze.

— *Warsz. Dn.*, jako dowód zastoju ekonomicznego, przytacza obroty wydziału obrachunkowego w warszawskim oddziale Banku państwa, które w maju wyniosły 35,147,851 rb., czyli o 10,193.384 rb. mniej, niż w miesiącu poprzednim

— *Gaz. Pols* donosi: W ciągu ubiegłych czterech miesięcy, suma weksli wystawionych przez firmy kupieckie w Cesarstwie na kupców i fabrykantów tutejszych i zaprotestowanych tylko przez Bank handlowy dosięgła niebywałej cyfry miliona rubli. W innych instytucyach finansowych warszawskich zaprotestowano weksli z Cesarstwa w tymże stosunku Niektórzy dostawcy towarów do Cesarstwa w celu uratowania przynajmniej pewnej ich części podążyli na miejsce.

— Zatwierdzoną została ustawa stowarzyszenia współdzielczego budowy tanich mieszkań dla ludności pracującej.

— **Poczta.** Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadamia, iż od d. 14 lipca obowiązywać będzie nowa taksa od przesyłek na Daleki Wschód (okręgi Amurski i Zabajkalski, gub. Jakucka, okrąg Kwantuński i Mandżurya), a mianowicie: od przesyłek do 2 funtów k. 65, do 7 f. — rb. 1 k. 25 do 12 f. — rb. 1 kop. 85. Od wyższej wagi dodaje się po kop. 20 za każdy funt.

Katastrofy. Dnia 29 z. m nad Moskwą i jej okolicami szalał huragan połączony z ulewą i wielkim gradem; 40 ludzi straciło życie, a około 200 zostało poranionych, prócz tego 580 domów uległo zburzeniu. Straty obliczają na 5 mil. rubli.

Pożary. W osadzie Łaskarzewo, gub. Siedleckiej, spaliło się 100 domów i 80 stodół; 150 rodzin utraciło [illegible].

Zmarli. Moers-Tuszowska (Julian z Poradowa) poetka polska, autorka kilku utworów scenicznych, w Pizzie.

— Wilhelm Jordan, wybitny poeta niemiecki, w Frankfurcie n. M., w 85 roku życia.

SPROSTOWANIE. W nr. 25 na stronie 298, w notatce „Co jest trucizną w tytoniu“ zamiast *kwas węglowy* powinno być wszędzie *tlenek węgla*.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Іюня 904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8